



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

9

2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 78

GALAPAGOS

WYSPY ZACZAROWANE

str. 48

ALBANIA

GÓRY PRZEKŁĘTE

str. 18

FILIPINY

POWRÓT DO SINGNAPAN

Zanzibar

str. 10

JORDANIA

STR. 96

WITAJCIE

w raju



KANADA STR. 36

GDZIE ŁĄD SPOTYKA OCEAN

OMAN STR. 28

DŻINY WIECZNIE ŚPIEWAJĄ

ŁÓDŹ STR. 88

BOSKIE BALKONY

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 6149 02 09

**Jack
Wolfskin**

AT HOME OUTDOORS

**Z WATAHA
NA KRANIEC ŚWIATA**

Martyna

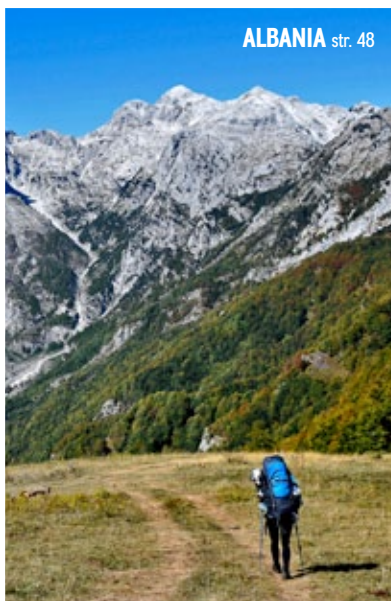
Sprawdź nową kolekcję: www.jack-wolfskin.pl



FILIPINY str. 18



OMAN str. 28



ALBANIA str. 48



GALAPAGOS str. 78



LITWA str. 68

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

ZANZIBAR str. 10
Ta wyspa jest jak raj
z pierwszych stron
folderów podróży.
Kamila Urbaniak

FILIPINY str. 18
Spotkanie z plemieniem
Tau't Batu wśród
tropikalnej dżungli.
Łukasz Bartoszewicz

OMAN str. 28
Gdzie dżiny
wiecznie śpiewają.
Elżbieta i Piotr Hajduk

KANADA str. 36
Samochodem
po Nowej Szkocji.
Agnieszka i Bartosz Wrzosek

GEOSKOP str. 44

ALBANIA str. 48
Góry Przekłète.
Dawid Białowąs

PODRÓŻNOŚCI str. 56
Gdzie się podziały babacie?
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

POZNAJ ZWYCZAJ str. 58
Ta'arof to specyficzny kod
grzecznościowy w Iranie.
Kacper Van Wallendael

NAVIGATOR str. 64

LITWA str. 68
Birsztany, ogród
pięciu terapii.
Bartosz Król

DŁUGO W DRODZE str. 76
Ostatnia dzika rzeka cz. 2.
Felieton Łukasza
Długowskiego

GALAPAGOS str. 78
Wyspy zaccarowane.
Adam Stecyk

POLSKA NIEZNANA str. 86
Krajobraz po lodowcu.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

POLSKA str. 88
Boskie balkony z łodzi.
Radosław Kożuszek

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

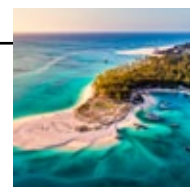
JORDANIA str. 96
Cud świata.

Aleksander Muszyński

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 106
W pogoni za pięknem.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
plaża na wyspie
Zanzibar



Ludmiła Antonsen

NORWEGIA

Podlotek

W lipcu 2018 r. bardzo mało ludzi odwiedzało Kanebogen Fjara – jedną z kilku mniejszych plaż w Harstad. Skorzystały z tego mewy, które bardzo licznie zakładały tam gniazda. Na zdjęciu podlot mewy srebrzystej – młody ptak, który już wyszedł z gniazda i zaczął sam biegać po plaży. W pobliżu latali rodzice.



reddot award 2018
winner



Optyczne.pl

1. miejsce w plebiscycie na
Produkt Roku 2018



Lornetka Titanium HD 8x42 ED

PODWÓJNY ZWYCIĘZCA!

Produkt roku 2018 według Czytelników Optyczne.pl w kategorii lornetka.

Najlepsza lornetka zdaniem jury prestiżowego, międzynarodowego konkursu Red Dot.
Koniec i kropka.

CIESZYMY SIĘ I JESTEŚMY DUMNI.

DELTA[®]
o p t i c a l



www.deltaoptical.pl



Link do produktu
www.deltaoptical.pl

Specjalnie dla czytelników Poznaj Świat przygotowaliśmy
rabat 15% na zakup lornetek marki Delta Optical
w sklepie internetowym www.deltaoptical.pl

KOD RABATOWY:

PS2019





Mikołaj Gospodarek

POLSKA

Zza krzaka

Jezioro Solińskie ma bardzo rozwiniętą linię brzegową (ok. 166 km), z licznie występującymi zatoczkami. Tu jedna z nich, nieopodal wsi Polańczyk. Jest ukryta za gąszczem drzew i krzaków. Warto zadać sobie trud i przedrzeć się przez nie dla takich widoków o wschodzie słońca.

Ula Michalak

BALI

Pożegnanie bez smutku

Według Balińczyków spalenie ciała pozwala duszy na powtórne narodziny. Ceremonia odbywa się w danej miejscowości tylko raz lub dwa razy w roku, ponieważ jest bardzo droga. Podczas niej miejscowi śmieją się, opowiadają żarty, chodzą między sarkofagami i sprzedają napoje. Kobieta na zdjęciu żegna swoją mamę, twarz ma schowaną w dłoniach, ale z powodu dymu. Podczas ceremonii nie ma smutku, aby dusza zmarłego nie pozostała na ziemi. Jeśli widzi ona, że rodzina radzi sobie bez niej, odchodzi do swojego świata, by narodzić się na nowo.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Kopalnia Soli „Wieliczka”



Witaj w kopalni tajemnic

www.kopalnia.pl

Kamila Urbaniak

WITAJCIE w raju



Pragnęliśmy w listopadzie uciec do egzotycznego raju. Traf chciał, że udało się upolować bilety w przystępnej cenie na Zanzibar. W pośpiechu przeczesywaliśmy internet. Nagłówki prześcigały się w epitetach wyrażających zachwyty: „Najpiękniejsze miejsce na Ziemi”, „Wyspa zadziwiająca kolorami”, „Magiczna wyspa”. Nasze oczekiwania co do wyjazdu rosły z każdą minutą. I wiecie, co okazało się na miejscu? Tam naprawdę tak jest.



Zanzibar jest przepiękny. Z jednej strony to raj z pierwszych stron folderów biur podróży. Z drugiej, jak się okazało podczas tej wyprawy, jest to również obszar zróżnicowany, bardzo bogaty kulturowo i historycznie.

Rozgrzane do czerwoności afrykańskie słońce, biały piasek, ciepłe wody oceanu mieniące się wszystkimi odcieniami niebieskiego, od delikatnego turkusowego po znikający gdzieś na horyzoncie granat. Na drugim planie palmy i małe gliniane domki rybaków poprzetykane wielkimi, luksusowymi hotelami rozciągającymi się wzdłuż linii brzegowej. Zanzibar to wyspa pełna kolorów, zapachów i kontrastów.

PERŁY KRÓLOWEJ SABY

Legenda głosi, że miejsce to powstało podczas jednej z morskich wypraw pięknej królowej Saby. Pewnego dnia królowa, urzeczona historiami o niezwykłym mędrцу i władcy,

zapagnęła wyruszyć do odległej krainy, aby poznać owianego sławą Salomona. Jednakże podczas rejsu ocean nie chciał się z nią rozstać. – *Obiecaj, że do mnie wrócisz* – poprosił. – *Wróć* – odrzekła królowa i wrzuciła do wody perłowy naszyjnik na dowód, że dotrzyma słowa. – *To nie wystarczy, aby zyskać przychylność moich fal i wiatru* – zaszumił ocean, więc po chwili w wodzie znalazła się skrzynia po brzegi wypełniona najznamienitszymi klejnotami. Po uderzeniu o dno otworzyła się, a wysypujące się z niej skarby uformowały wyspy archipelagu.

Autonomiczny obszar Zanzibaru składa się z dwóch głównych wysp oraz licznych małych bezludnych wysepek. Większa i zdecydowanie bardziej popularna wśród turystów jest Unguja. To tam znajduje się stolica regionu Zanzibar City ze słynnym starym miastem Stone Town, wpisanym na listę UNESCO. Druga wyspa, Pemba, oddalona o ok. 100 km, jest zdecydowanie mniejsza i niekomercyjna, znajduje się tutaj tylko kilka hoteli, infrastruktura jest skromna, ale wystarczająca. Wyspy są otoczone przez wody Oceanu Indyjskiego i niesamowity



podwodny świat. Miejscowi wierzą, że to właśnie za sprawą pereł królowej Saby uformowały się bogate rafy koralowe, które dziś są jedną z największych atrakcji turystycznych regionu. Można tutaj spotkać delfiny, żółwie morskie, rozgwiadzy, barakudy, rekiny, a nawet wieloryby, jeżeli akurat jesteśmy na wyspie w okresie ich corocznych migracji.

Nie wiemy, czy królowa Saby dotrzymała danego słowa, ale z pewnością u wybrzeży Tanzanii pozostawiła dar tak wspaniały, że przez kolejne stulecia wielu chciało władać archipelagiem. Dlatego wcale nas nie zdziwiło, gdy dowiedzieliśmy się od miejscowych, że Bill Gates też zechciał mieć kawałek Zanzibaru tylko dla siebie. Kilka lat temu właściciel Microsoftu zdecydował się na zakup jednej z wysepek. Dziś na Mnembie znajduje się luksusowy ośrodek wypoczynkowy. Aby zapewnić gościom spokój, na wyspie mogą przebywać tylko osoby do tego upoważnione. Niestety na Ungui walka o najlepsze tereny trwa od dawna. Multimilionerzy wykupują najlepsze lokalizacje przy plaży i wypychają tubylców w głąb wyspy. W pierwszej linii brzegowej

chatki rybaków ustępują wielkim hotelom. Miejscowi, żyjący z rybołówstwa i plantacji alg, coraz częściej rezygnują z dotychczasowych sposobów zarobkowania i szukają pracy w branży turystycznej.

WYSPA BABEL

Dziś główna wyspa archipelagu zamienia się powoli w komercyjne centrum rozrywki dla turystów. Jednak zainteresowani kulturą i historią tego miejsca wciąż mają szansę odkryć to, co znajduje się po drugiej stronie kolorowego czasopisma reklamującego wakacje *all inclusive*. Jeśli chcemy docenić prawdziwie piękno Zanzibaru, warto cofnąć się w czasie i prześledzić losy wyspy.

Ponad dwa tysiące lat temu jako pierwsze pojawiły się na niej ludy zamieszkujące obszar kontynentalnej Tanganiki. Wśród ówczesnych mieszkańców były plemiona Bantu oraz Masajowie, których potomkowie dziś przechadzają się po plażach Zanzibaru, sprzedając pamiątki. Miejscowi Masajowie są bardzo otwarci i chętnie nawiązują kontakt z turystami. W sezonie

FREDDIE TU BYŁ

Widok na Stone Town. Tu 5 września 1946 r. przyszedł na świat Freddie Mercury. Wokalista zespołu Queen spędził na wyspie pierwsze lata życia, a dziś w stolicy można odbyć wycieczkę jego śladami.





to ich główne źródło dochodu, z którego muszą utrzymać nie tylko siebie, ale często całe rodziny. Mężczyźni poza drobnym handlem oprowadzają po wyspie, opowiadają o swojej kulturze i zwyczajach. Bardzo często występują wieczorami przed gośćmi w hotelach, dając pokazy śpiewu i tańca. Kobiety zazwyczaj pracują w wioskach ukrytych w głębi wyspy. To właśnie one przygotowują ozdoby, koralki, paciorki i kamyczki, które później sprytnie zamieniają w wisiorki, breloczki i bransoletki sprzedawane na plaży.

Pomimo że czasami czuliśmy się nieco przytłoczeni obecnością Masajów krążących wokół nas i oferujących coraz wymyślniejsze usługi, dzięki licznym rozmowom mieliśmy szansę czegoś się o nich dowiedzieć. Siedzieliśmy na plaży i łamanym angielskim uzupełnianym rysunkami na piasku debatowaliśmy o tym, jak dziś wygląda życie w tym miejscu. Masajowie mieszkają bardzo skromnie, bez wygod, w tradycyjnych bomach, czyli domach, a może trafniejszym określeniem będzie osadach. *Boma* ma owalny kształt, jest ogrodzona i składa się z sypialni zbudowanych z gałęzi i błota wymieszanego z krowim łajnem oraz zagrody dla krów. Zwierzęta grają tutaj kluczową rolę, bo: im więcej krów, tym więcej żon, im więcej żon, tym więcej domków w bomie, im pokazniejsza *boma*, tym wyższy

status społeczny Masaja. Dlatego każda nasza rozmowa prędkiej czy później sprowadzała się do zbierania pieniędzy na kolejną krowę i szukania okazji do zarobienia kilku dolarów, na co najczęściej przystawaliśmy. Mając na uwadze takie sytuacje, zawsze byliśmy przygotowani i mieliśmy w kieszeni kilka jednodolarówek na napiwki i zakup drobnych pamiątek na plaży.

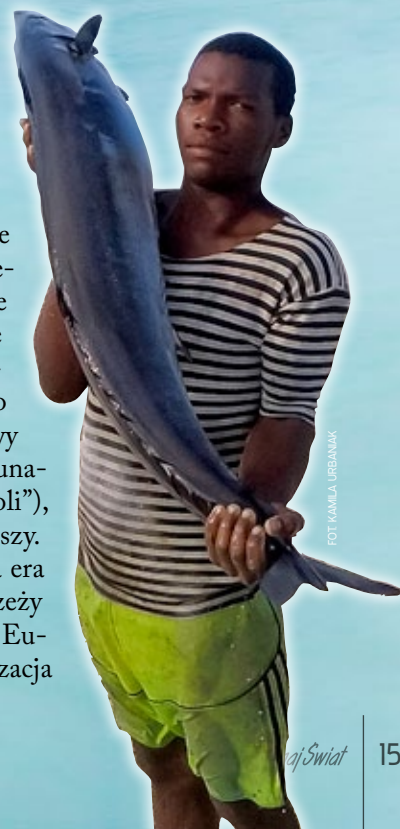
Oczywiście Masajowie to nie jedyni mieszkańcy Zanzibaru. W starożytności wody u wschodnich wybrzeży Afryki chętnie odwiedzali arabscy kupcy z terenów Persji, Arabii oraz Egiptu. Z czasem na Zanzibar dotarli również handlarze z Półwyspu Indyjskiego. Wyspa stała się wielkim portem i bazarem, na którym przeplatały się wpływy arabskie i hinduskie. Odkrywców, marynarzy i kupców przyciągało bogactwo naturalne Afryki: liczne złoża kamieni szlachetnych, kość słoniowa, drzewo sandałowe i niewolnicy. Na wschodzie kontynentu afrykańskiego od X w. dzięki wymianie handlowej zaczęła się rozwijać kultura suahili, która stopniowo zastępowała dawne plemienne zwyczaje. Jej fundamentem jest przyjemny dla ucha język, którego podstawy znaleźliśmy dzięki jednej z najbardziej kasowych w latach 90. hollywoodzkich produkcji dla dzieci – mowa oczywiście o „Królu Lwie”.

Na plaży co chwilę słyszeliśmy kierowane w naszą stronę pozdrowienia *karibu Zanzibar*, co w języku suahili oznacza „witajcie na Zanzibarze”, na zmianę z *jambo*, czyli „cześć, jak się masz”, czy *hakuna matata* – „nie ma problemu”. Kultura suahili jest bardzo ekspresyjna, zgodnie z jej zasadami powitanie musi być długie, radosne i wylewne. Tutaj nie ma miejsca na narzekanie, nigdy! Na pytanie „jak się masz?” jedyną słuszną odpowiedzią jest odpowiedź pozytywna. Dobre wychowanie przy powitaniu nakazuje zapytać nie tylko o samopoczucie naszego rozmówcy, lecz także całej jego rodziny. Dlatego kurtuazyjne rozmowy mogą przeciągnąć się do dobrych kilkunastu minut, ale *pole pole* („powoli, powoli”), na Zanzibarze nikt się nigdzie nie śpieszy.

Rozwój kultury suahili zatrzymała era wielkich portugalskich odkryć. U wybrzeży Afryki pojawili się żądni nowych ziem Europejczycy i tak rozpoczęła się kolonizacja

ULUBIENIEC

Rybak łowił tuńczyka. To jedna z ulubionych ryb Zanzibarczyków, potrafią ją przyrządzić na 1001 sposobów. Podobno najlepszy jest stek oraz wersja curry podana w łupinie kokosa.



FOT. KAMILA URBANIK

ŻONY ZA KROWY

Małżonki zaprzyjaźnionego Masaja. Żeby zawrzeć małżeństwo, przyszły pan młody musi ofiarować ustaloną liczbę krów. Wszystkie większe wydatki przelicza się na bydło.



FOT. KAMILA URBANIAK

tych terenów, trwająca od XVI do XVIII w. Kres panowaniu Portugalczyków położył Wielki Sułtan Omanu Sayid Said, który w czasach świetności swojego imperium przeniósł stolicę właśnie na Zanzibar. Te wszystkie zawirowania kulturowo-etniczne sprawiły, że obecnie 99 proc. mieszkańców wyspy to muzułmanie. Dlatego wytworzyła się tu szalenie intrygująca mieszanka społeczna. Głęboko zakorzenione barwne, gwarne, wesołe rytuały kultury suahili zderzyły się z ograniczeniami surowej religii, która wniknęła nawet do struktur państwowych.

Obecnie w każdym zakątku wyspy znajdziemy meczet, a o wyznaczonych porach będzie nam towarzyszyć śpiewne nawoływanie do modlitwy. Jednak najciekawsze, co powstało ze zderzenia tych dwóch światów, to niepowtarzalny styl kobiecych strojów. Zanzibarską odpowiedzią na znane z arabskiego świata ponure hidżaby są kolorowe, wzorzyste kangie. Tradycyjna *kanga* to duża, zwiewna chusta, którą można zasłonić nie tylko głowę, ale i całe ciało aż do pasa. Składa się ona z dwóch części: *pindo* – obszywki oraz *mji*, czyli środka. Każda część chusty ma inny kolor i wzór. Tradycyjny stój jest bardzo praktyczny, chroni skórę przed upalnym słońcem, nie krępuje ruchów i jest przewiewny. Poza tym ubrane

w kangie kobiety przechadzające się po plażach Zanzibaru to prawdziwy teatr kolorów.

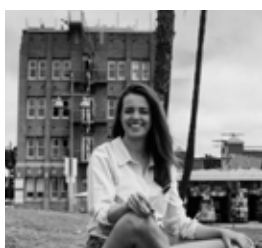
DOM CUDÓW

Paradoksalnie walka o wpływy na wyspie przyczyniła się do jej szybkiego rozwoju. Każdy okres wniósł coś dobrego do kultury i życia jej mieszkańców. To właśnie na Zanzibarze w 1883 r. powstał pierwszy w Afryce Wschodniej budynek, w którym zainstalowano bieżącą wodę i elektryczność, a od 1913 r. również windę. Pałac zyskał przydomek Dom Cudów, a jego sława szybko obiegła cały kontynent. Postępowy władca Zanzibaru sułtan Barghasz ibn Sa'id poza cudami w swoim pałacu zadbał również o mieszkańców wyspy. Za jego rządów w stolicy pojawił się system wodociągów, a ulice rozświetliło światło elektryczne.

Po czasach sułtanatu nastąpił okres protektoratu brytyjskiego, po którym na wyspie pozostał ruch lewostronny i rozdmuchana biurokracja. Na szczęście Brytyjczycy przyczynili się również do popularyzacji języka angielskiego, który nieoficjalnie jest drugim językiem urzędowym. Już od najmłodszych lat dzieci uczą się go w szkołach, co sprawia, że nawet zagubiony turysta w centralnej części wyspy będzie miał szansę się dogadać i znaleźć drogę do hotelu.

Do 1960 r. Zanzibar funkcjonował jako oddzielny byt administracyjny. Dopiero w czasach dekolonizacji Afryki w wyniku rewolucyjnych zamieszek w 1964 r. został połączony z Tanganiką, tworząc nowe państwo o nazwie Tanzania. Nazwa powstała z połączenia słów Tanganika i Zanzibar. Dziś wielu mieszkańców wyspy krytykuje przynależność do Tanzanii. Skorumpowane władze krajowe narzucają bardzo wysokie podatki na Zanzibarczyków. Większość z tych pieniędzy rozpierzcha się gdzieś na kontynencie lub znika w kieszeniach parlamentarzystów z Dodomy, podczas gdy wyspiarze dbają o swoje interesy sami.

Obecnie większość inwestycji na wyspie, włączając w to szkoły, drogi i transport, pochodzi z prywatnych źródeł finansowania. Dalszy zrównoważony rozwój turystyki w tym regionie to szansa dla zaradnych wyspiarzy na poprawę warunków życia lokalnej społeczności. Zatem – zapraszamy do rajy. ○



Kamila Urbaniak

Absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego i Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Z wykształcenia politolog i ekonomista, z zamiłowania podróżniczka. Obecnie realizuje dwa cele podróżnicze: postawić nogę w każdym europejskim kraju przed trzydziestką i wyruszyć w podróż dookoła świata. Miłośniczka Włoch, w których mieszkała i które odwiedziła łącznie ponad 20 razy.

DISCOVER MORE: HA LONG BAY

z linią lotniczą, która lata do
największej liczby krajów na świecie.



TURKISH AIRLINES

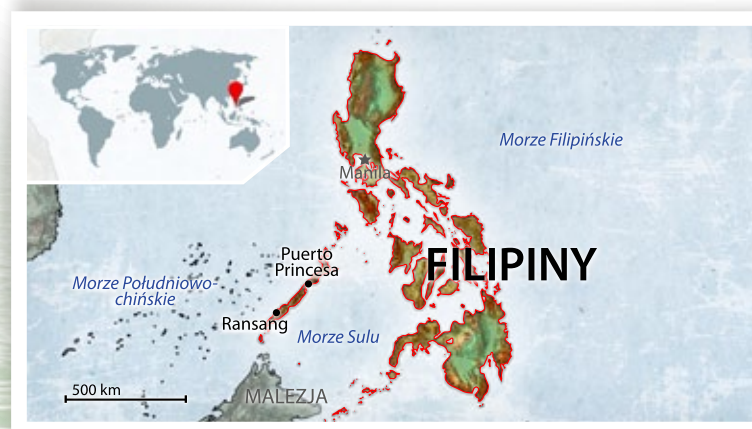
VIETNAM



POWRÓT DO SINGNAPAN

Łukasz Bartoszewicz

Przed trzema laty spędziłem miesiąc wśród plemienia Tau't Batu w dolinie Singnapan, ucząc się dialektu, polując i próbując zrozumieć animistyczne wierzenia, które przetrwały setki lat. Niedawno postanowiłem powrócić tam, żeby zobaczyć, co zmieniło się wśród kilku rodzin, z którymi się zaprzyjaźniłem, oraz sprawdzić na własnej skórze, jak wygląda pora deszczowa w dżungli.





FOT. SHUTTERSTOCK

Po dwóch dniach podróży docieram do Puerto Princesa, stolicy wyspy Palawan w południowo-wschodniej części Filipin. Kupuję jedzenie oraz maczety i mogę ruszyć w drogę. Z Puerto Princesa jadę na południe do Ransang, wioski położonej najbliżej Singnapan. Ostatnie 150 km prowadzi po szutrowych drogach, ale dyskomfort wynagradzają przepiękne widoki. Setki palm rosnących wzdłuż wybrzeża tworzą niezapomniane krajobrazy.

Na miejsce docieram późnym popołudniem. Ale przed wyruszeniem do dżungli muszę dopełnić jeszcze kilku formalności. Zgłaszam się do najbliższej jednostki wojskowej, aby uzyskać pozwolenie na pobyt w tym rejonie, a następnie rejestruję się u pani sołtys.

Cały mój bagaż waży ok. 40 kg, dlatego skorzystam z pomocy Tony'ego, tragarza mieszkającego w pobliskiej wiosce. Wieczór spędzam z rodziną Tony'ego, który uprzedzając moje ewentualne pytania, zdradza: – *Jutro pokażę ci, jakie pozytywne zamiany zaszły w naszej dolinie. Zobaczysz na przykład piękny nowy dom, ale więcej ci nie powiem, to będzie niespodzianka.*

Mimo pory deszczowej od rana słońce pali niemiłosiernie. Wyruszamy około siódmej. Wilgotność przekracza 90 proc. i po kilkudziesięciu minutach jestem cały mokry, a to dopiero początek. Równie szybko jak woda przydaje się maczeta.

Po czterech godzinach docieramy do wspomnianej niespodzianki. Jest nią duży dom wybudowany przez misjonarzy. Stoi pusty i nikt tam nie mieszka, a służyć ma jako miejsce spotkań pastora z Tau't Batu. Na jego budowę zgodzili się członkowie plemienia, ale bardziej przez

grzeczność, ponieważ animizm jest nadal bardzo mocno zakorzeniony w ich kulturze.

Po krótkiej przerwie kontynuujemy męczącą wędrówkę przez dżunglę. Pod koniec dnia docieramy do domu Tumihaya, który wita nas szerokim uśmiechem. Najbliższy tydzień spędzę z jego rodziną. Po przywitaniu ze wszystkimi dopytuje: – *Co zjesz na kolację, może twoje ulubione guly?*

Rzeczywiście, gotowane warzywa to jedna z moich ulubionych potraw.

POWTÓRKA Z DIALEKTU

Podczas pierwszego pobytu nauczyłem się stu kilkudziesięciu słów w dialekcie, jakim się posługują Tau't Batu, co w dużym stopniu ułatwiło mi porozumiewanie się i poznanie ich tradycji. Przygotowując się do podróży, zrobiłem powtórkę z tego dialektu, który w wielu aspektach różni się od języka palawańskiego. Jest to w szczególności widoczne w codziennym życiu, ponieważ używają innych słów i zwrotów na większość czynności związanych z polowaniem, wierzeniami oraz gotowaniem.

Ze względu na duże zagrożenie malarią i dengą wieczory spędzamy przy ognisku.

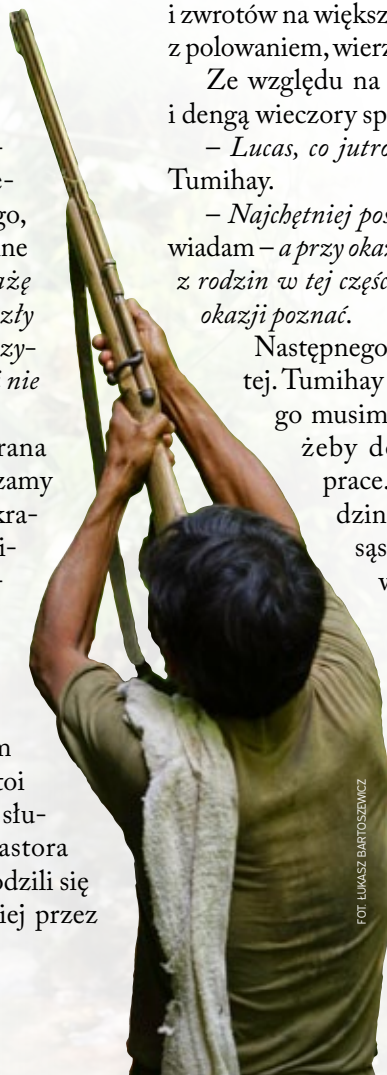
– *Lucas, co jutro chcesz robić?* – dopytuje Tumihay.

– *Najchętniej poszedłbym polować* – odpowiadam – *a przy okazji możemy odwiedzić jedną z rodzin w tej części doliny, której nie miałem okazji poznać.*

Następnego dnia wstajemy około piątej. Tumihay buduje nowy dom, dlatego musimy wrócić przed piętnastą, żeby dokończyć zaplanowane prace. Poranek spędzamy z rodziną Bankoka, najbliższymi sąsiadami. Po krótkim przywitaniu Bankok proponuje: – *A może zjecie kraby i gotowane grzyby?*

– *Nie możemy odmówić. Zobaczysz, Lucas, Bankok to jeden z najlepszych kucharzy w regionie* – żartuje Tumihay.

Sami Tau't Batu nie mają zbyt wiele,



FOT. LUKASZ BARTOSZEWICZ

ale zawsze się dzielą – mimo cywilizacyjnych zmian, jakie zachodzą w ich życiu, pozostali gościnni. Odwdzięczamy się owocami liczi, które wcześniej zebraliśmy.

Po dwóch godzinach ruszamy na polowanie. Przez kilkadziesiąt minut przedzieramy się gęsto porośniętą dżunglą. Ponownie przydaje się maczeta. Ptaków w regionie jest niewiele, ale dzisiaj mamy szczęście. W ciągu półtorej godziny Tumihay upolował trzy. Obecnie już tylko nieliczni członkowie plemienia polują za pomocą tradycyjnych dmuchawek, większość używa strzelb.

Wracając, czuję ukłucie w palcu u stopy, a chwilę później po mojej nodze przebiega pająk. Nie jestem pewien, czy mnie ugryzł. Od razu pytam, czy jest jadowity. – *Niczym się nie martw, ten nie był jadowity* – mówi bez wahania Tumihay. Widząc wątpliwości w moich oczach, łapie pająka i go głaszcze...

Po naszym powrocie żona Tumihaya, Ernissa, gotuje upolowane ptaki, a my w międzyczasie podjadamy smażone insekty.

Wieczory spędzamy na rozmowach. Mój akcent jest daleki od ideału, a prawidłowe



odmiany opanowałem tylko w niektórych zwrotach, co wywołuje dużo śmiechu, w szczególności wśród dzieci. Najważniejsze jednak, że potrafię się dogadać.

Tau't Batu są bardzo nieufni, ale to pacyfisci, dlatego o swoje bezpieczeństwo jestem spokojny. Dobrze mnie zapamiętali z mojej pierwszej wizyty. Wolę jednak poczekać z poważniejszymi pytaniami dotyczącymi religii, działań szamana czy zmian, jakie zaszły w ich życiu.

ZOSTAŁY TYLKO PTAKI

W Singnapan polują głównie na zwierzyne latającą. Kiedy zapytań tutejszych o małpy, zawsze się śmieją i mówią, że prawie wszystkie już zjedli. Większość myśliwych używa broni palnej, nieliczni stosują jeszcze tradycyjne dmuchawki.



PEOPLE OF THE ROCK

W kolejnym dniu udaję się na samotną wędrówkę. Po dwóch godzinach spotykam Takona. Trzy lata temu przez tydzień mieszkałem u niego i miałem okazję z nim polować. To nie tylko świetny myśliwy, polujący za pomocą dmuchawki, ale przede wszystkim jeden z najbardziej ujmujących ludzi, jakich spotkałem. Dopytuję, co u niego słychać i jakie ma plany na najbliższe dwa tygodnie...



FOT. LUKASZ BARTOSZEWICZ



FOT. LUKASZ BARTOSZEWICZ

PODZIAŁ RÓL

Do codziennych obowiązków starszych dzieci należy opieka nad najmłodszymi członkami plemienia.

– *Od roku mieszkam w odległym rejonie Batu – mówi – ale w ciągu tygodnia zamierzam przenieść się z rodziną do pobliskiej jaskini. Natomiast wcześniej czeka mnie sporo pracy. Jeżeli masz czas i chcesz mi pomóc, możemy umówić się na jutro.*

Zgadzam się bez wahania. „People of the rock” – ta nazwa wzięła się stąd, że w okresie monsunu ludzie z plemienia Tau’t Batu na kilka miesięcy opuszczają swoje domostwa i przenoszą się do jaskiń.

Grota jest położona kilka godzin drogi od domu Tumihaya, dlatego na kolejne trzy dni postanawiam przenieść się do brata Takona,

który mieszka w jej pobliżu. W tym roku jest wyjątkowo mało opadów, dlatego przynosiny są opóźnione. Ostatnie tygodnie to niezwykle intensywny czas pracy. Członkowie plemienia muszą nie tylko przygotować grotę, ale także zebrać ostatni ryż i zgromadzić większą ilość jedzenia. Ponadto przed nadejściem tajfunu trzeba wzmocnić drewniane domy.

Następnego dnia razem z Kujim, najstarszym synem Tumihaya, udajemy się na umówione spotkanie. Po krótkim przywitaniu Takon zaprasza nas na obiad: – *Dzisiaj czeka nas dużo pracy, ale najpierw coś zjedzmy.*

– *A co będzie na obiad?* – dopytuje Kuji.



– *Wczoraj zjedliśmy wszystkie upolowane ptaki, a więc dzisiaj będą nietoperze z ryżem i warzywami* – wyjaśnia Takon. Nietoperze jadłem już wcześniej. Dobrze komponują się z warzywami, a w smaku przypominają wieprzowinę.

Po obiedzie przychodzi czas na pracę. W pierwszej kolejności naprawiamy drabinę prowadzącą do groty, w której Takon będzie mieszkał z rodziną. Wymieniamy bambusowe szczebelki i liany łączące poszczególne fragmenty drabiny. W kolejnym dniu przygotowujemy bambusowe podesty do spania i miejsce do gotowania.

Podobne jaskinie znajdują się w całej dolinie Singnapan i stanowią idealne schronienie, gdy region nawiedzają śmiertelne tajfuny. Jednak nie wszystkie nadają się do zamieszkania. Niedaleko Limow-Limow znajduje się ogromna jaskinia, przez którą przepływa rzeka. W porze suchej to idealne miejsce do łowienia ryb, a także zbierania ślimaków skalnych. Trzeba tylko uważać na jadowite pająki przyklejane do stropów. W porze deszczowej Tau't Batu zastawiają tu pułapki, w które łapią nietoperze.

W okresie monsunu część doliny zostaje zalana i żeby umożliwić poruszanie się między





IDIEMY NA RYBY

Mali i duzi schodzą nad rzekę na połów. Łowią za pomocą przygotowanych wcześniej pułapek, używają także drewnianych, ręcznie wykonanych kusz.

niedostępnymi miejscami, członkowie plemienia budują drabiny na pionowych ścianach. Wspinam się od kilkunastu lat, ale nawet na mnie robi wrażenie płatanina bambusowych drabin na ścianie, której nachylenie dochodzi do dziewięćdziesięciu stopni.

Jutro Takon wraca do swojej rodziny, wieczorem postanawiam więc podpytać go o wierzenia i działalność misjonarzy.

NIE PRZESZKADZAĆ SZAMANOWI

Członkowie plemienia wyznają animizm. Wierzenia Tau't Batu ograniczają się przede wszystkim do świata niewidzialnych duchów, z którymi się komunikują. Mimo braku widocznych dowodów świadczących o animistycznych wierzeniach, np. w postaci miejsc kultu, przez stulecia ich wiara mocno



FOT. LUKASZ BARTOSZEWICZ

Podczas mojej pierwszej wizyty w Singnapan brałem udział w rytuałach leczniczych odprawianych przez Linoka. Natomiast na początku pory deszczowej jego rola ogranicza się do duchowego przygotowania plemienia do przenosin w jaskinie.

W dalszej części rozmowy dowiaduję się, że coraz częstszym gościem w regionie jest pastor z Ransang. Ale jego wizyty niewiele chyba zmieniają, bo ponad 90 proc. Tau't Batu nadal pozostaje wierna religii przodków.

Takon wraca do rodziny, a ja na kilka dni przenoszę się do Dormina. Pełni on funkcję rozjemcy (*panglima*), rozstrzygającego sporne kwestie. Dotyczą one przede wszystkim kradzieży, które jednak zdarzają się tu rzad-



FOT. LUKASZ BARTOSZEWICZ

zakorzeniła się w codziennym życiu i jest świadectwem spuścizny kulturowej.

– Słyszałem, że szaman Linok, tak jak ty, mieszka w rejonie Batu. Czy moglibyśmy się z nim spotkać? – dopytuję.

– Niestety nie jest to możliwe, ponieważ szaman od tygodnia mieszka w grocie i przygotowuje nas do przenosin. Teraz nikt nie może mu przeszkadzać – tłumaczy Takon.

ko. Po dotarciu na miejsce witam się z jego żoną i dziećmi. Okazuje się, że dobrze mnie zapamiętali. Dopytuję o samego Dormina, ale jest nieobecny ze względu na swoje liczne obowiązki. Najbliższe dni spędzę więc z jego rodziną.

Pierwszego dnia polujemy na ptaki. Ważna jest tu umiejętność ich naśladowania. W tej kwestii muszę się jeszcze wiele nauczyć.



Natomiast coraz lepiej radzę sobie ze strzelaniem i tym razem nie wracam z pustymi rękami. Mieszkańcom nie brakuje ryżu ani owoców, uprawiają również warzywa. Problemem jest jednak brak dużych zwierząt. Nieliczne małpy żyją na trudno dostępnych zboczach doliny, a chwytanie ich jest niebezpieczne i skomplikowane.

Wraz z kolejnymi dniami opady są coraz intensywniejsze. Czas przenosin do jaskiń zbliża się nieuchronnie.

Ogromna wilgotność, jaka panuje w czasie monsunu, powoduje, że kurtka membranowa jest zbędna – po kilkudziesięciu minutach i tak jestem cały mokry. Podczas intensywnych opadów niepraktyczne są również sandały i buty, szczególnie przy schodzeniu ze stromego zbocza, którym spływa błoto. Najlepszym rozwiązaniem jest chodzenie boso. Niewątpliwym plusem jest mniejsza liczba pajaków, które stanowią duże zagrożenie, ale w porze suchej.



FOT. ŁUKASZ BARTOSZEWCZ



FOT. ŁUKASZ BARTOSZEWCZ



FOT. ŁUKASZ BARTOSZEWCZ

W CZASIE DESZCZU
Życie Tau't Batu, przeniesione do jaskiń na czas pory deszczowej, wymaga dużo więcej pracy. Ale na tym zdjęciu widać akurat czas relaksu po udanym polowaniu.

COŚ NA KOLACJĘ
W dolinie nie brakuje ryb, ślimaków czy homarów, które są głównym pożywieniem plemienia.



Łukasz Bartoszewicz

Od dwóch lat realizuje projekt łączący dwie pasje: podróżowanie i wspinanie. Głównym założeniem jest udokumentowanie zwyczajów mniejszości etnicznych zamieszkujących różne kontynenty, a kolejnym – klasyczna wspinaczka oraz wytyczanie nowych dróg.

Odwiedza nas Takon, który już przenosi się z rodziną do jaskiń. Zaprasza mnie do Limow-Limow. Nie mogę odmówić, i ostatnie trzy dni swojego kolejnego pobytu w Singnapan spędzam w jaskini.

Zielona dżungla tętni niezwykłym życiem. Czasami jest tak głośno, że nie mogę spać, a zmysły płatają figle. Pierwszej nocy hałasujące insekty w połączeniu z intensywnym deszczem tworzą taki pogłos, jakby obok przejeżdżał pociąg. Mieszkając w grocie,

należy uważać na węże, skrywające się w zakamarkach. Wszyscy śpimy na bambusowych podestach, które przygotowaliśmy z Takonem.

Pod koniec dnia opady ustają na kilka godzin i taki wieczór to idealny czas na łowienie ryb oraz zbieranie ślimaków. To zajęcie dla dzieci i kobiet, ale dzisiaj postanawiam się przyłączyć. Przeważnie łapiemy małe ryby, lecz tym razem za pomocą drewnianej, ręcznie robionej kuszy, łowimy kilka większych okazów. Na moją ostatnią kolację czeka nas rybna uczta. ○



FOT. ELIZBETA I PIOTR HALDUK



A DŻINY WIECZNIE ŚPIEWAJĄ

Elżbieta i Piotr Hajduk

Dawne królestwo palm i wielbłądów dzisiaj woli nowoczesność. Po szerokich arteriach mkną szybkie samochody, a nowe domy lśnią bielą. Lecz duch dawnego Orientu wciąż tutaj żyje. Mieszkańcy boją się dżinów, które nadal sprowadzają na manowce. A nadmorskie porty pamiętają czasy Sindbada Żeglarza. To stąd legendarny podróżnik wyruszał na pełne przygód wyprawy i tutaj wracał obładowany bajkowymi skarbami. Oman w pełni zasługuje na miano Szczęśliwej Arabii.





FOT. ELZBETA | FOTR. HALDUK

NA STRAŻY

Fort w Nakhl. W Omanie takich twierdz jest bardzo dużo. Niegdyś strzegły wybrzeża i szlaków handlowych, które gęsto przecinały kraj. Dziś odrestaurowane są turystyczną atrakcją.

Kraj pokrywa sieć autostrad, szos i malowniczych górskich tras. Z wypożyczeniem samochodu nie ma problemu. Jedynym ograniczeniem jest cena. Kto chce pojeździć po górach, powinien dysponować autem terenowym. Jednak kwota jego wynajmu pięciokrotnie przekracza koszt osobowego. Dlatego decydujemy się na najmniejszą toyotę yaris.

Południe kusi pustynią pachnącą drzewami kadzidłowymi. Ale my wybieramy północ, malowniczą krainę podniebnych szczytów i niezdobytch twierdz.

KRAJ FORTÓW

Fortec jest w Omanie bardzo dużo, są jego popularną atrakcją turystyczną. Najwięcej jest rozsianych wzdłuż wybrzeża. Inne strzegą dawnych szlaków handlowych. Każda jest interesująca na swój sposób i przeważnie starannie odrestaurowana.

Jednym z najstarszych jest fort w Nakhl. Pochodzi z czasów przedislamskich. Stanowił ochronę pobliskiej osady i szlaków handlowych wiodących do Nizwy. Wyniosłe mury zwieńczone blankami widać już z daleka. Przyklejone do skały, zdają się stanowić z nią jedną całość.

Zamek Al Hazm był również mieszkaniem. Stąd jego bryła jest delikatniejsza. Wnętrza zostały odnowione z niezwykłą precyzją. Nie brakuje nawet dawnych mieszkańców.



FOT. ELZBETA | FOTR. HALDUK

Tu z wnętrza w murze spogląda rusznikarz, tam widać skuloną postać więźnia.

Fort w Barce jest akurat w remoncie. W cieniu strażnicy trwa handel rybami. Rybacy wystawiają na sprzedaż nocny połów. Kupcy, uzbrojeni w długie kije, wybierają towar, przesuwaną go po podeście wyłożonym kafelkami. Drobniejsze ryby są sprzedawane hurtowo, powiązane w pęczki. Ogromne tuńczyki leżą osobno. Za zakupy płaci się gotówką dobywaną z walizki. Jest i księga przychodów. Rosły Arab zapisuje w grubym zeszyte każdą transakcję. Targowi towarzyszy tłum gapiów i wychudzone koty z nadzieją w oczach.

Bahla to nieduże miasteczko słynące z wyrobu ceramiki. Niegdyś było jednym z najlepiej obwarowanych w kraju. Olbrzymie mury, ciągnące się na długości 12 km, otaczały całą miejscowość. Ich pozostałości wciąż budzą podziw. Wizytówką miasta jest twierdza uchodząca za największą w kraju. Wzniesiona na łagodnym wzgórzu, góruje nad całą okolicą. Wewnątrz zachwycają odnowione pomieszczenia. Nietrudno zagubić

się w labiryncie przejść, burząc spokój mieszkających tu nietoperzy. Podobno także dżiny upodobały sobie fortecę i nawet gruntowny remont ich nie spłoszył.

Z wieży roztacza się widok na miasto i okolicę. Stare domy, budowane niegdyś z tradycyjnej cegły mułowej, sąsiadują z nowymi. Te ostatnie są w większości zamożne. Każdy to miniaturowy pałac z wieżami. Ale nie mieszkają w nich księżniczki z baśni. Takie baszty to idealne miejsca dla zbiorników na wodę. Upalne słońce sprawia, że zawsze jest gorąca. Zbiorniki są wykonane z dbałością o szczegóły. To nie ordynarne, metalowe puszki, ale białe beczułki ozdobione wypustkami, które z daleka wyglądają jak blanki na murach. Płaski dach też ma uzasadnienie. Wygodnie suszyć na nim pranie lub trzymać kozy czy kury.

Pomieszczenia w twierdzy nie wyróżniają się niczym szczególnym, ale drewniana drabina w jednym z nich zachęca do wspinaczki. Szczelble prowadzą do niedużej baszty. Jest ciemno i duszno, śmierdzi stęchlizną. Lepiej wracać. W drzwiach zatrzymuje nas głośny

RYBY Z BARKI

W nadmorskim miasteczku Barka każdego ranka kwitnie handel rybami. Rybacy wystawiają na sprzedaż nocny połów, a kupcy – uzbrojeni w długie kije – wybierają towar.



łoskot. Drabina spada, wzniecając tuman kurzu. – *Rozgniewaliście dżina* – ostrzega strażnik, który pojawia się nie wiadomo skąd. – *Uciekajcie, bo znajdziecie się w jego mocy. Będziecie musieli robić, co zażąda* – dodaje złowieszczo. Dopiero teraz zauważamy tablicę informującą o zakazie wchodzenia.

Dżiny od wieków zamieszkiwały bańniowe krainy Orientu. Według miejscowych podań Bóg stworzył je obok ludzi i aniołów. Mają być niewidzialne, ale mogą przyjąć każdą postać. Dzielą się na dobre i złe. Którego rozzłościliśmy?

KUP PAN KOZĘ

Historyczne miasto Nizwa niegdyś było stolicą Omanu. Leży na równinie otoczonej wysokimi górami. Przyjeźdźni chętnie je odwiedzają, co przekłada się na ceny, dużo wyższe niż w innych częściach kraju. Bilet wstępu do fortu jest dziesięć razy droższy niż do innych tego typu zabytków.

Starannie odnowione centrum pachnie jeszcze farbą. Na głównym placu kuszą

sklepiki z pamiątkami. Ale próżno szukać antyków. Można za to kupić wyroby współczesnego rękodzieła. Historyczny suk też został wyremontowany. Teraz wygląda raczej jak nowoczesna hala targowa. Turyści przechadzają się pomiędzy sterylnymi stoiskami i z ulgą wychodzą na słońce. Miejscowi wolą robić zakupy na ulicy. Za załomem muru można kupić świeże ryby, a owoce i warzywa leżą na chodniku. Nie są potrzebne elektroniczne kasy ani karty kredytowe. Sprzedawcy trzymają pieniądze jak dawniej – w turbanie.

Szczególnym dniem w mieście jest piątkowy poranek. Na centralnym placu odbywa się targ kóz. Przywiązane do metalowych palików zwierzęta grzecznie czekają na kupców. Pomiędzy nimi uwijają się miejscowi. Kobiety z osłoniętymi twarzami, mężczyźni w długich białych sukniach zwanych didaszami. Tradycyjny strój omańskich gentlemanów jest szyty na miarę z cienkiej, najlepiej egipskiej bawełny. Do tego koniecznie trzeba założyć kummę, czyli płaską, wyszywaną czapeczkę. Na uroczyste okazje można jeszcze przytroczyć do pasa *khanjar*, zakrzywiony nóż

KOZIA REWIA

Niektórzy hodowcy przyjeżdżają z odległych wiosek, aby zaprezentować swoje kozy. Przywiązane do palików zwierzęta spokojnie czekają na swoją kolej.





ZAPINAJ PASY

Na targu można kupić nie tylko kozę, ale także krowę lub wielbłąda. Przywiązany pasami i zabezpieczony kagańcem nabytek bezpiecznie dojedzie do nowego gospodarstwa.

o ozdobnej rękojeści, kuty ze szczerego srebra. Przyjezdny też może sobie taki sprawić. Najlepiej tu, w Nizwie, która jest tradycyjnym ośrodkiem srebrnego rękodzieła.

– *Chcecie kupić kozę?* – Brodaty mężczyzna uśmiecha się przyjaźnie. W pokrytej zmarszczkami twarzy błyszczą wciąż młode oczy. Ali przyjechał na targ z górskiej wioski oddalonej od Nizwy ponad 60 km. Od rana czeka na kupca, przyglądając się licznej konkurencji. Bo ważny jest nie tylko utarg. Równie istotne jest uznanie innych hodowców. Jednak Ali może być spokojny. Jego kozy są najładniejsze. Rosłe, o długiej jedwabistej sierści i sprężystych ruchach. Niechętnie się z nimi rozstaje, ale potrzebuje gotówki. Pora wydać za mąż najstarszą córkę Fatimę.

Kto poważnie myśli o handlu, musi udać się pod okrągłe zadaszanie. Tam, na arenie, rozgrywa się właściwe widowisko. Jeśli chcesz sprzedać kozę, musisz pokazać ją jak modelkę – na wybiegu. Najwyższa pora na Alego. Zrywa się z miejsca i ciągnie swoje cztery kozy. Jedna z nich beczy w głośnym proteście, druga zaplątała się w rzemień i nie chce ruszyć dalej, trzecia rwie do przodu. Mężczyzna wpada na siedzącego pod słupem wyrostka. Ten na szczęście rozumie sytuację i odsuwa się na bok. Teraz jeszcze trzeba przepchać się przez stojącą ciasno publiczność i można pokazać zwierzaki w pełnej krasie.

Kupcy, gapie i turyści tłoczą się, przepychając wzajemnie. Na wybiegu ciasno od

sprzedających. Chodzą w kółko, prezentując kozy. Głośno zachwalają ich zalety. Ali chce ruszyć w obchód, ale mężczyzna z przodu zatrzymuje się zniemacka. Ktoś chce obejrzeć jego kozła. Z tyłu napierają kolejni. Mała kózka płacze się pod nogami. Chyba komuś uciekła. Wysoki Arab upatrył sobie zwierzę Alego. Sprawdza sierść, zagląda w zęby. Nie, to jednak nie ta. Alego aż zatyka z oburzenia. Przecież tutaj nie ma lepszych. Każda z kóz ciągnie w swoją stronę. Już zachrypl, a krzyżeć trzeba głośno. Nie można dać się zagłuszyć konkurencji. Ale w końcu trafia się poważny kupiec. Uważnie ogląda wszystkie cztery.

Targ ubity, pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Nowy właściciel odchodzi, prowadząc ze sobą kozy, wyraźnie z tego niezadowolony. Za to zadowolony jest Ali. Dostał dobrą cenę. Rozpromieniony zaprasza do swojego gospodarstwa. Nie możecie dzisiaj? Przyjedźcie jutro. Albo pojutrze. Będzie czekał.

WIELKI KANION

W północnym Omanie góry są prawie wszędzie. Zawsze na horyzoncie pojawia się łańcuch szczytów lub chociaż pojedyncze wzniesienie. Za najwyższą uchodzi wznosząca się w pasmie Al-Hadžar Góra Słońca, po arabsku zwana Dżabal Szams. U jej stóp znajduje się Wielki Kanion Omanu – ogromna, głęboka rozpadlina otoczona stromymi klifami. Niestety, szczyt można oglądać tylko z daleka.



FOT. ELZBETA I PIOTR HAŁDUK

SPICHLERZ OMANU

W miasteczku Birkat Al-Mawz jest mnóstwo palm i bananowców. Rosną tutaj tak bujnie dzięki systemowi nawadniających kanałów zwanych faladżami.

Dla cywilów jest niedostępny ze względu na położoną w pobliżu bazę wojskową.

Możliwy jest za to trekking z boczem góry, nazywany Balcony Walk. Urokliwy trakt rzeczywiście przypomina gigantyczny balkon o długości kilku kilometrów. Ponad nim wznosi się szczyt, a w dole zieleń czeluści kanionu. Z tej perspektywy najlepiej widać jego ogrom i potęgę, choć kto chce, może go obejrzeć także z dołu. Wąska, kamienista ścieżka wiedzie do opuszczonej wioski Al Sab, trawersując stok. Rozpoczyna się na wyniosłym płaskowyzu, gdzie dochodzi utwardzona droga.

Szosa do serca gór wiję się pomiędzy wysokimi wzniesieniami. Na straży Wielkiego Kanionu stoi wioska Al Ghul. Jej nazwa nawiązuje do miejscowych wierzeń, bo *ghul* to jeden z dżinów – zły pustynny duch, który pod postacią hieny grasuje na cmentarzach. Ponoć ma na sumieniu niejednego podróżnika, lepiej więc nie wchodzić mu w drogę.

Aby nie drażnić dżina, ruszamy dalej stromą, krętą szosą pod górę. Raz z jednej, raz

z drugiej strony zieleń przepaść, oddzielona od szosy barierką zabezpieczającą. Toyota jakoś daje radę, ale ostrzejsze wjazdy wymagają znacznej redukcji biegów. Silnik rzeźni na jedynce przy stromym podejździe. Po obu stronach szosy raz po raz pojawiają się cudowne krajobrazy. Można je podziwiać z niedużych punktów widokowych. Na jednym z nich czeka uśmiechnięty Omańczyk. Patrzy sceptycznie na nasze auto. – *Takim nie dojedziecie*. Mehmed czeka w miejscu, gdzie kończy się dobra droga. Wprawne ucho potrafi rozpoznać rodzaj samochodu. Do tych, którzy jadą terenowym, nawet nie wychodzi. Jego klienci to kierowcy osobówek. Zarabia, dowożąc ich do wioski Al Khitaym, skąd odchodzi w góry pieszy szlak. To tylko 15 km, ale lepiej mieć auto z napędem na cztery koła.

Z jego twarzy nie schodzi uśmiech, ale jednocześnie twardo trzyma cenę 35 riali, czyli około 350 zł. W kraju, gdzie litr benzyny kosztuje 1,50 zł, taka kwota zakrawa na kpinę. Zastanawiamy się, co zrobić. W oddali widać

mozolnie wspinające się w górę samochody. Osobowym nikt nawet nie próbuje wjeżdżać. My postanawiamy spróbować. Omańczyk uśmiecha się nieco złośliwie: – *Uważajcie, żeby zły dżin nie poplątał wam drogi.*

Trasa pnie się ostro pod górę. Nawierzchnia to właściwie nie tyle szuter, ile ubity piasek o nierównym podłożu. Tu już nie ma zabezpieczających barier. Pobocze opada w dół kamienistym osuwiskiem. Droga staje się coraz węższa i bardziej wyboista. Samochodem kołysze na boki, niskie zawieszenie raz po raz zahacza o nierówności terenu. Ale jakoś się udaje. Dojeżdżamy.

Al Khitaym wita nas parkingiem zastawionym terenówkami. Z ich cienia korzystają kozy wylegające się między kołami. Osada składa się z kilku domków. Tuż za nimi zaczyna się szlak. Po drodze trzeba jeszcze minąć stragany z pamiątkami, których główną atrakcją są... kamienie. Takie same jak te, które leżą pod stopami.

Wąska ścieżka biegnie w poprzek stoku, odsłaniając malownicze widoki. Nad przepaścią wznoszą się góry. Lepiej nie zbaczać z trasy. Zaraz za nią zбочce spada w dół urwiska. Po godzinie wędrówki szlak doprowadza do opuszczonej, górskiej wioski. Zbudowane z miejscowego kamienia domki trwają przytulone do skał. Wokół poszarpane turnie porażają majestatem. Nad nimi wiszą zwaliska kamieni. Trudno uwierzyć, że jeszcze 40 lat temu osadę zamieszkiwało kilkanaście rodzin. Piętrowe tarasy niegdyś były ich polami uprawnymi.

BANANOWE JEZIORKO

Wioska, w której mieszka Ali, jest położona w pasmie Al-Dżabal al-Achdar. Zielona okolica uchodzi za spichlerz Omanu. Mieszkańcy małych osad zajmują się uprawą granatów, moreli, cytryn, a przede wszystkim róż. Woda z ich płatków wytwarzana w przydomowych destylarniach jest bogactwem tej krainy.

Droga w góry zaczyna się w miasteczku Birkat Al-Mawz. Stąd jeszcze 30 km do wioski Alego. Ale na szosie czeka niespodzianka. Policja zawraca każde auto, które nie ma napędu na cztery koła. Podjazdy są bardzo strome. Na pobliskim parkingu aż gęsto od

osobówek. Miejscowi i tutaj zorganizowali dogodny transport. Cena? Znajome 35 riali. O negocjacjach nie ma mowy. Widać odwiedziny u Alego nie są nam pisane.

Pozostaje zwiedzić samo miasteczko. Na szczęście warto. Po surowych widokach bezdrzewnych gór miło znowu nasycić oczy zielenią. Birkat Al-Mawz jest zatopione w morzu palm i bananowców. Stąd zapewne nazwa miejscowości, która oznacza Bananowe Jezioro. Wszystko rośnie dzięki tradycyjnemu systemowi nawadniających kanałów zwanych faladżami. Kamienne koryta ciągną się czasem całymi kilometrami jak miniaturowe rzeki. Ten tutejszy jest jednym z najstarszych.

Palmy daktylowe są uprawiane w Arabii od wieków. Ich słodkie owoce były podobno ulubionym przysmakiem Mahometa. Ze względu na długi okres przechowywania były chętnie zabierane w podróż. Syrop z daktyli służył nie tylko do spożycia. W czasie oblężenia był równie skuteczny co armaty. Gorący, wylewany przez otwory twierdzy, skutecznie studził zapal najeźdźców.

W mieście zachowały się stare domy z cegły mułowej, w których jeszcze 40 lat temu mieszkali dzisiejsi szejkwowie. Choć wyludnione i niszczone, są obecnie powodem do dumy. Świadczą o bogatej przeszłości kraju. Można do nich wejść, ale lepiej uważać. Krucho mury osypują się przy mocniejszym stąpaniu. W środku czuć wciąż obecność. Może i tutaj mieszkają dżiny czyhające na nieostrożnych wędrówców?

Cegła mułowa była niegdyś bardzo popularnym materiałem budowlanym. Lekkie konstrukcje z gliny łagodziły uciążliwości związane z gorącym klimatem. Mimo zniszczenia nieliczne wciąż są zamieszkałe, głównie przez imigrantów z Pakistanu czy Indii. Dla nich dżiny okazują się łaskawe. Dla nas chyba też. Albo może mieliśmy szczęście? ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeżdżili razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką, Kasią, napisali książkę o podróży po Afryce „Dalej są tylko lwy”.



Agnieszka i Bartosz Wrzosek

GDZIE LĄD SPOTYKA OCEAN



– Dlaczego Kanada? – zapytał Andre, kierowca, który minął naszego busa na szosie i szybko zawrócił, by dowiedzieć się, skąd jesteśmy. – Dlatego, że chcieliśmy poczuć drogę, wiesz... tak w pełni – odpowiedzieliśmy. Andre zaśmiał się i podkreślił, że jedno jest pewne: drogę w Kanadzie pocujemy nader mocno. Minął dopiero tydzień i już wiemy, co miał na myśli.



Rzeczywiście – Kanada to drogi. Tysiące kilometrów dróg. Na mapie wyglądają jak drobne, krótkie odcinki, które z łatwością można pokonać w kilka chwil. Dziś już wiemy, że pokonywany dystans lepiej liczyć w dniach, nie godzinach.

Kanadyjskie drogi mogą dać w kość. Zwłaszcza kiedy przez kilka godzin jedziesz monotonną trasą krajową, która jest szarą, asfaltową wyrwą w ogromnej połaci lasu. Wybierając drogę w Kanadzie, nie kieruj się szybkością pokonanej trasy. Wybierz te, które pozwolą nacieszyć oko czymś innym niż tylko lasem. Poza tym przemierzanie Kanady głównymi drogami traci sens. Bo możesz przeoczyć miejsca, które nam się udało odwiedzić.

PÓŁWYSEP, KTÓRY JEST WYSPĄ

Jeśli planujesz zjechać na boczne drogi, poznać przyjazną i spokojną twarz Kanady, zacznij od Nowej Szkocji. To tu odnajdziesz nieskalane krajobrazy, miejsca, gdzie ogrom oceanu spotyka się z zielonym lądem, a pomiędzy nimi wyrastają czasem tętniące życiem miasteczka. „Zjechałem cały świat. Widziałem Rocky Mountains, Andy, Alpy i zielone góry Szkocji, ale jeśli chodzi o czyste piękno, Cape Breton prześciga je wszystkie” – tak wspominał ten

teren Alexander Graham Bell, który zauroczony Nową Szkocją spędził na niej ponad 30 lat. Trudno się mu dziwić, bo kiedy i my wjechaliśmy z lądu na wyspę, od razu zostaliśmy oczarowani jej pięknem.

Na Cape Breton znajdziecie jedno z najbardziej malowniczych dróg w Nowej Szkocji. Jedne wiją się wybrzeżem wśród sennych miasteczek i ruchliwych marin. Inne przecinają połacie nieskończonych lasów, zahaczają o jeziora i dalej ciągną się setkami kilometrów.

Przekraczając granice Cape Breton w przemyku Zatoki św. Jerzego, natrafiamy na Ceilidh Trail. *Ceilidh* w języku gaelickim oznacza „spotkanie, zgromadzenie” i ma swoje korzenie w dawnej Irlandii i Szkocji, kiedy to podczas długich zimowych nocy sąsiedzi spotykali się na wspólnych zabawach i rozmowach. Starsi przypominali młodym historie dawnych bohaterów i opowiadali legendy. Młodzi poznawali swoich przyszłych małżonków i tańczyli do dźwięków celtyckiej muzyki. Dziś zwyczaj ten ogranicza się do zabawy przy muzyce na żywo, jednak poczucie wspólnoty jest nadal bardzo silne.

Na Ceilidh Trail ma się szansę tego doświadczyć, spędzić czas ze znajomymi lub poznanymi mieszkańcami, którzy na każdym kroku podkreślają swoje gaelickie pochodzenie. Warto więc zatrzymać się na dłużej

ŻYWE SKANSEN

W XVII-wiecznym Sherbrooke zachowało się 25 oryginalnych budynków, w których żyli i pracowali pierwsi osadnicy. To miejsce pozwala doświadczyć ich rzeczywistości na własnej skórze. Każdy z mieszkańców zaprasza do swojego domu lub warsztatu.



FOT. AGNIESZKA BARTOSZ WRZOSEK

w jednym z małych miasteczek i posłuchać celtyckiej muzyki na żywo lub potańczyć do dźwięku szkockich dud. Warto też odpocząć chwilę, spacerując piaszczystymi plażami Inverness, przywodzącymi na myśl szkockie wybrzeża.

Zaraz za Ceilidh Trail zaczyna się jedna z najbardziej spektakularnych dróg Nowej Szkocji – Cabot Trail. Prowadzi serpentynami przez doliny rzek, przedziera przez zalesione góry, by zanurkować w małych zatokach. Ten niemalże 300-kilometrowy szlak jest najczęściej przemierzaną trasą w Kanadzie. W 2017 r. uplasowała się ona na pierwszym miejscu Najbardziej Malowniczych Tras Kanady w rankingu „USA Today”. Najtrudniejszy odcinek, Cape Smokey, początkowo był przeznaczony dla wozów konnych i tak wąski, że niewielu śmiałków odważyło się go przebyć. Biegł pomiędzy urwiskami nad ponad 300-metrową przepaścią. Dopiero na początku XIX w. poszerzono drogę i z czasem dopuszczono ruch samochodowy. Kiedy pogoda nie dopisuje, na Cape Smokey ma się wrażenie podróży w chmurach. Niskie stratusy odkrywają tylko wierzchołki gór, a zakrywają wszystko to, co znajduje się poniżej asfaltowej drogi.

Cabot Trail to nie tylko gratka dla fanów ekstremalnej jazdy nad przepaścią. Miłośnicy wycieczek pieszych z pewnością nie

rozczerują się licznymi szlakami, które znajdują się w tym miejscu.

KOLEBKA NOWEJ SZKOCJI I GORĄCZKA ŻŁOTA

W 1773 r. na pokładzie statku Hector do brzegów zalesionego, górzystego półwyspu dotarło 200 szkockich osadników. Natrafili na małą osadę, nazwaną później Pictou. Zanim jednak pojawili się tu Szkoci, tereny te zamieszkiwali rdzenni mieszkańcy – Mi'kmaq oraz osadnicy pochodzenia akadiańskiego. Jednak kolejne fale napływowe ze Szkocji zdecydowały o dzisiejszym charakterze półwyspu, gdzie dominuje gaelicka kultura, język i obyczaje.

Dziś w Pictou na każdym kroku czuć dumę ze szkockiego pochodzenia. Obok kolorowych domów znajdziemy tu wytwórnę kiltów, sklep ze szkockimi shortbreadami, puby z celtycką muzyką na żywo. Zjemy też jednego z lepszych homarów w Kanadzie. Warto odwiedzić Pictou na początku lipca, kiedy to co roku od 1934 r. odbywa się tu trzydniowy Festiwal Homara,



NA KANAPKĘ

W Nowej Szkocji homary podaje się w każdej postaci. Najbardziej popularne to lobster roll – homar w bułce maślanej.

WIDOKÓWKA

Na Cape Breton znajdują się jedne z najbardziej widokowych dróg w Nowej Szkocji. Można z nich podziwiać kolorowe mariny i małe rybackie wioski.

FOT. ADNIESZA I BARTOSZ WRZOSZEK



SPOJRZENIE NA BLIŹNIAKA

Widok na Halifax z Dartmouth. To bliźniacze miasta podzielone zatoką. Łączy je najstarszy prom w Ameryce Północnej. Przeprawa nim kosztuje niewiele i zajmuje nieco ponad 20 minut.



FOT. AGNIESZKA I BARTOSZ WIRZOSK

połączony z ulicznymi paradami, muzyką na żywo i oczywiście prezentacją najlepszych potraw z tego skorupiaka.

Sherbrooke to miejscowość, której nie znajdziecie na pierwszych stronach przewodników. Trafiliśmy na nią przypadkiem, kiedy to znudzeni dwupasmową drogą wśród drzew, zjechaliśmy w stronę lądu. Pierwsi pojawili się w 1655 r. osadnicy francuscy. Początkowo zajmowali się wymianą handlową ze rdzennymi mieszkańcami Kanady, przemysłem drzewnym i rolnictwem. Dopiero w 1860 r. odkrycie kilku żył złota zadecydowało o zwiększeniu populacji miasteczka. Czasy prosperity trwały jednak niedługo i po 20 latach gorączki złota miasto ponownie opustoszało.

Dziś wioska Sherbrooke jest żywym skansenem, w którym nie tylko można obserwować życie z połowy XIX w., ale i stać się jego częścią. Muzeum zatrudnia kilkudziesięciu stałych pracowników i ponad 100 sezonowych. Na terenie zachowało się 25 XIX-wiecznych drewnianych budynków, m.in. warsztat kowala,

młyn wodny, sklepy i karczmy. Do tego na każdym kroku można spotkać pracowników w strojach z epoki odtwarzających ówczesne życie codzienne.

TITANIC, WIELKI WYBUCH I LOKALNE PIWA

Pierwsze skojarzenie z Halifaxem, jeśli w ogóle się pojawia, to Titanic. Transatlantyk zatonął w 1912 r. niedaleko Nowej Szkocji. Jego pozostałości i ciała pasażerów przez długi czas morze wyrzucało nieopodal miasta. Na cmentarzu Fairview spoczęła ich ponad setka. W Atlantyckim Muzeum Morskim znajdującym się w porcie tragedii jest poświęcona otwarta w tym roku wystawa.

Drugie skojarzenie to wielki wybuch. W 1917 r. francuski okręt Mont Blanc przewożący blisko 2500 ton materiałów wybuchowych zderzył się w porcie z norweskim statkiem Imo. Okręty stanęły w płomieniach, co przyciągnęło na nadbrzeże tłumy

PIWNYM SZLAKIEM

Nowa Szkocja jest dumna ze swoich piwnych tradycji. Najwięcej rzemieślniczych browarów (starych i nowych) znajduje się w stolicy prowincji – Halifaxie. Podróż wzdłuż wybrzeża można więc ułożyć szlakiem piwnych manufaktur.





FOT. AGNIESZKA I BARTOSZ WRODZEK

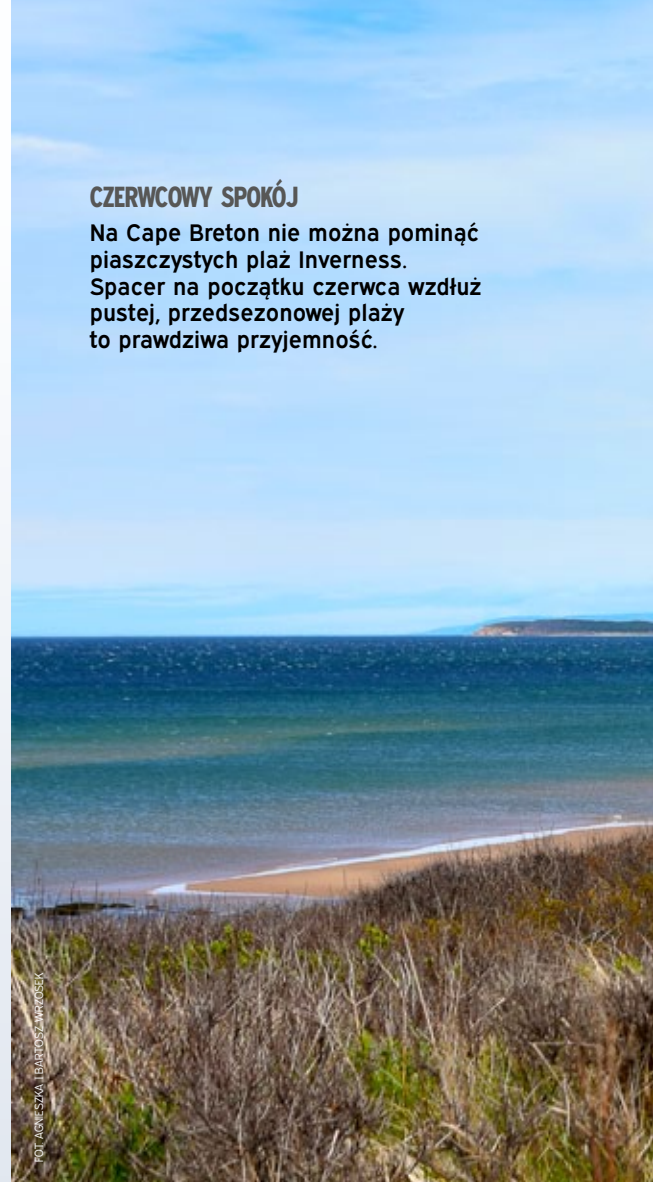
SZKOCJA W KANADZIE

Pozornie zwyczajne miasteczko Pictou kryje historię pierwszych osadników. To tutaj przycumował pionierski statek ze szkockimi imigrantami. Mieszkańcy podkreślają na każdym kroku swoje wyspiarskie pochodzenie.

gapiów. Eksplozja nastąpiła po 20 minutach. Zniszczyła północną część miasta, uśmierciła 1800 i raniła blisko 10 tys. osób. Była słyszana setki kilometrów od miejsca wybuchu, a w położonym 100 km na północ Truro wybiła szyby w oknach. Do czasu zrzucenia bomby atomowej była to najpotężniejsza eksplozja wywołana przez człowieka w historii.

Halifax, stolica prowincji, skupiająca blisko połowę jej mieszkańców, jest oczywiście największym miastem w regionie. Położone po drugiej stronie portu, zwane bliźniaczym miastem, Dartmouth jest dziesięć razy mniejsze. Te ośrodki, oprócz współczesnych dwóch mostów, łączy najstarsze czynne połączenie promowe w Ameryce Północnej, powstałe już w 1752 r.

Halifax to też twierdza. Powstała 1744 r. i szybko została zburzona. Przez dwieście lat



CZERWCOWY SPOKÓJ

Na Cape Breton nie można pominąć piaszczystych plaż Inverness. Spacer na początku czerwca wzdłuż pustej, przedsezonowej plaży to prawdziwa przyjemność.

FOT. AGNIESZKA I BARTOSZ WRODZEK

niszczyła i dopiero na skutek największej na skalę Kanady akcji rekonstrukcyjnej odbudowano i przywrócono do życia blisko pięćdziesiąt obiektów, zachowując styl, klimat i wyposażenie z epoki. Na wzgórzu nad miastem leży XIX-wieczna cytadela, z której rozciąga się panorama na Halifax. W pobliżu znajduje się też czterostronny zegar, zamontowany w 1803 r. na życzenie księcia Edwarda, hrabiego Kentu, który niezwykle cenił punktualność. W części portowej zwiedzimy zamienioną na muzeum Pier21 dawną bramę do miasta – miejsce, którego w latach 1928–1971 do Kanady weszło milion emigrantów.

W Halifaxie powinniście zatrzymać się na chwilę, by poznać nocne życie miasta. Stolica Nowej Szkocji, oprócz dużej liczby kawiarni i restauracji z owocami morza, oferuje również ogromny wybór lokalnych piw. W całość



provincji znajdziecie ponad 50 browarów, których przedstawiciele mają swoje puby w centrum Halifaxu. Są tu zarówno małe nowe browary, jak i duże, z bogatą tradycją. Każde piwo jest warzone z lokalnych składników i z sukcesami przyjmowane nie tylko w Kanadzie. Dla śmiałków kursuje Beer Bus, który zabierze w trasę po browarniach i pubach wszystkich amatorów chmielowego trunku.

PRZEDE WSZYSTKIM LUDZIE

Czym byłaby Nowa Szkocja bez ludzi? Złepkiem pięknych krajobrazów, wielkich przestrzeni i błękitnym niebem z ogromem cumulusów. W marinach nie spotkalibyśmy wesołych rybaków zapraszających na kolejnego najsmaczniejszego w całej Kanadzie homara. W górskich dolinach nie usłyszelibyśmy

dźwięku dud i flażoletu. I w końcu – nie usłyszelibyśmy tylu życzliwych słów. Mieszkańcy Nowej Szkocji lubią się dzielić swoimi historiami i bardzo chętnie słuchają cudzych opowieści.

Dlaczego zaczęliśmy naszą podróż od Kanady? Chyba podświadomie wybraliśmy miejsce, gdzie czas zwalnia. Po przekroczeniu granicy odłączyliśmy telefony, ograniczyliśmy dostęp do internetu do minimum. Chcemy wreszcie odpocząć, a tu, chyba jak nigdzie indziej, naprawdę można. Żyjemy wolniej, łatwiej i prościej. Naszym domem i środkiem transportu jest stary volkswagen Ogórek z 1972 r. Mamy tradycyjną mapę, atlas, który pomaga wybrać dobrą drogę. Rozmawiamy z ludźmi, liczymy, że i oni wskażą nam ciekawe miejsca i szlaki. Przed nami kolejne tysiące kilometrów, wielkie jeziora, Alaska i amerykańskie pustynie. ○



Agnieszka i Bartosz Wrzosek

W czerwcu br. wyruszyli z Polski do Kanady, aby przez krainy jezior i lasów dotrzeć do Alaski, poczuć pustylny wiatr zachodniej Ameryki i przywitać święto zmarłych w Meksyku, w Gwatemali zaś zobaczyć ruiny Majów ukryte w dżungli. W rok odwiedzą niesamowite miejsca, poczują ogromne przestrzenie i doświadczą prostego życia.

www.callunatrip.pl

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

HAENDEL W SZCZAWNICY

Barokowe Eksploracje w Szczawnicy zapraszają na koncert zawierający obszerne fragmenty oratorium „Saul” HWV 53 Georga Friedricha Haendla. Wydarzenie odbędzie się 8 września w kościele św. Wojciecha. Rolę tytułową wykona holenderski śpiewak Peter Kooij, należący do grona najlepszych interpretatorów wokalne muzyki baroku na świecie. Wśród solistów wystąpią wybitni śpiewacy z Austrii, Polski, Węgier i Czech. Festiwal otworzyła 20 sierpnia polska premiera zrekonstruowanej niedawno opery barokowej „O założeniu Pragi przez Libuszę i Przemysława”, z muzyką Antonia Vivaldiego, do libretta Antonia Denzigo z 1734 r., która odbyła się w Dworcu Gościńnym w Szczawnicy.



FOT. PIOTR SIEPEŃSKI

**BAROKOWE 2019
EKSPLORACJE
W SZCZAWNICY**

f /BAROQUECOLLEGIUM1685
f /BAROKOWEKSPLORACJE

**OPERA
BAROKOWA**
polska premiera
**PRAGA NASCENTE
DA LIBUSSA E PRIMISLAO**
O założeniu Pragi przez Libuszę i Przemysława
Muzyka: Antonio Vivaldi, libretto: Antonio Denzi (1734)
Dworek Gościenny
20 sierpnia, godz. 19.00
miejsce: do odbioru: Butk i Soczawica
rezerwacja: tel.: 519 067 681
wykonawcy:
Libussa - Sylwia Czagrowá
Primislaw - Michaela Šrámová
Vlasta - Maria Infante, Sirodo - Hassan El Dunki
Chodemiro - Manuel Gómez Ruiz
Gustavo, Dievira - Lucia Kholoková
Sarca - Eva Besset, Lesbino - Filip Dáncák
tancerze: Romana Konrádová, Lenka Breeding
orkiestra barokowa MUSICA FLOREA PRAHA
reżyseria: Andrea Milnerová
dyrygent, kierownictwo muzyczne: Marek Strýci

KONCERT ORATORYJNY
Peter Kooij & Baroque Collegium 1685
**GEORG FRIEDRICH HAENDEL
ORATORIUM SAUL HWV 53**
wybór
Kościół pw. św. Wojciecha
8 września, godz. 20.15
wstęp wolny - miła widziane wolne datki
wykonawcy:
Saul - Peter Kooij, Dawid - Margot Oitzinger
Jonatan - Zoltan Megyesi, Samael, Dong - Marian Krejčík
Wiedma, Abiathar, Analekít - Tomas Lapík
BAROQUE COLLEGIUM 1685 (chór/orkiestra)
dyrygent, kierownictwo artystyczne: Agnieszka Żarska

ZANIM WYJEDZIESZ W BIESZCZADY



Kazimierz Nózka, Marcin Scelina i Maciej Kozłowski – dwóch najślynniejszych leśników w Polsce i kulturoznawca. Konfrontują nasze wyobrażenia o krainie studenckich wypadów, hipisów i dzikiej natury z prawdziwym obrazem Bieszczadów – obszaru wysiedleń, zapomnianej wojny domowej, uciekinierów politycznych, watah wilków, ciekawskich niedźwiedzi i surowych praw natury. Poznajemy losy pustelników, PRL-owskich watażków, dezerte-

rów rodzinnych i ludzi chcących uciec przed miastem do lasu zatopionego w dymie kopcących retort. Autorzy zabierają nas w prawdziwe Bieszczady. Zarówno te, które są obiektem naszych marzeń o zielonej enklawie, jak i do miejsca, o którym nie mieliśmy pojęcia. Zanim ruszymy w Bieszczady, rzuciwszy wszystko na zawsze lub tylko na chwilę, powinniśmy je poznać. Wydawnictwo Znak Horyzont.

Z KOMPASEM W ŁUPAWIE

Okolice Łupawy to teren wymarzony do zabawy w orienteering. Tajemnicza, dziko płynąca rzeka Łupawa, fałdki wzniesień, a pomiędzy nimi liczne jary, wąwozy, dolinki. W takim wspaniałym miejscu czeka całą rodzinę, paczkę przyjaciół czy pojedynczych sportowców ekscytujący rajd na orientację. Tradycyjnie organizatorzy szykują aż osiem atrakcyjnych, pieszych i rowerowych tras o zróżnicowanym poziomie trudności.

W bogatych pakietach startowych uczestnicy otrzymają m.in. imienne numery startowe, kolorowe mapy i wodoodporne karty startowe. Wspólnie z setkami innych fantastycznych uczestników staną za łukiem bramy startowej. Wszyscy będą mogli poczuć się jak prawdziwi sportowcy. Punktualnie w samo południe wyruszą przy dźwiękach „We Are the Champions” na podbój uroczych okolic Łupawy. I rozpocznie się łowienie biało-czerwonych lampionów. A na mecie czekają błyszczące medale oraz bogaty rajdowy bufet. To będzie piękna sobota 28 września w Łupawie.

www.zkompasem.pl



PORADA NA EUROPE

Jakub Porada to dziennikarz z wykształcenia i zawodu, podróżnik, aktor scen muzycznych, wykładowca, muzyk i trener medialny. Wystąpi 22 września podczas Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami. Jakub Porada jest miłośnikiem tanich podróży i korzyści z nich płynących. Pasjonuje się historią, geografią i literaturą. Udowadnia, że dzięki wyprawom można zrozumieć świat. W książkach i na spotkaniach autorskich przekonuje, że podróże są dostępne dla wszystkich, bez względu na wiek i grubość portfela. Okazją do spotkania z Jakubem Porada będą jego książki pt. „Porada na Europę. Tanie podróżowanie”.

www.podroznik-radzyn.pl



ROWEROWY RAJD RETRO

To kontynuacja ubiegłorocznej imprezy, która została pozytywnie przyjęta przez liczne grono odbiorców: kolekcjonerów rowerów retro, fascynatów historii oraz kolarstwa, rodziny z dziećmi. Tegoroczna impreza będzie związana z wyjątkowym mieszkańcem Puszczykowa – Arkadym Fiedlerem. W tym roku przypada 125. rocznica urodzin pisarza i podróżnika, a także 45-lecie założenia Muzeum-Pracowni Literackiej Arkadego Fiedlera. Trasa rajdu wyniesie około 10 km i będzie poprowadzona ulicami Puszczykowa, wśród malowniczych willi, w otoczeniu lasów Wielkopolskiego Parku Narodowego.

Dla uczestników przewidziano rozmaite atrakcje, m.in. wstęp do muzeum Arkadego Fiedlera. Ponadto w okolicy startu i mety rajdu odbędzie się piknik w stylu retro z różnymi atrakcjami, jak



np. warsztaty z jazdy na bicyklu i wystawa rowerów zabytkowych, produkowanych od końca XIX w. aż do czasu PRL-u. Uczestnicy i kibice będą mogli wziąć udział w rowerowej loterii fantowej, a także zaopatrzyć się w produkty inspirowane rowerowym stylem życia. Rajd odbędzie się 15 września.

www.puszczykowo.pl/rajd-rowerowy-retro

LUDZIE WODY



Pierwsza edycja festiwalu odbędzie się w dolinie Dunajca nad Jeziorem Rożnowskim w dniach 13–15 września. Wystąpią same wodne legendy. Aleksander Doba opowie o tym, jak trzykrotnie na kajaku Olo przepłynął Atlantyk. Kapitan Jerzy Radomski zdradzi najlepsze przygody z 32-letniego rejsu, najdłuższego w historii Polski. A o tym, jak odkryć najgłębszą

zalaną jaskinię na świecie, powie Krzysztof Starnawski, najsłynniejszy polski nurek. W podróż przez cztery arktyczne morza zabierze Monika Witkowska, która pierwsza na świecie dotarła w ten sposób na Czukotkę. A o kajakowej wyprawie solo, wzdłuż zachodniego wybrzeża Kanady w poszukiwaniu niedźwiedzi duchów, opowie Kamila Kielar. Maciej Badziak zdradzi, jak przepłynąć dwa oceany jachtostopem, a Paweł Kepa zabierze wszystkich na regaty dookoła świata. Dominik Szmajda opowie o spływie pontonem po rzece Kongo, a Emil Witt – o ekspedycji na tratwie po Amazonii. O tym, jak pokonywać górskie rzeki i zjeżdżać z wodospadów, opowiedzą Zbigniew Malinowski i Jakub Poburka.

Będzie także można spróbować sił w warsztatach żeglarskich, kajakarstwa górskiego, packraftingu, bikeraftingu, nurkowania, podstaw WOPR czy survivalu. W piątkowy wieczór odbędzie się szantowanie przy ognisku oraz kino plenerowe, a w sobotę – koncert szanty, na którym wystąpi Michał Zieliń. Po koncercie organizatorzy zapraszają na Bal Pirata.

www.ludziewody.pl

Ludzie Wody
Festiwal nad Jeziorem Rożnowskim
13-15 września 2019

Warsztaty z:
Podstaw żeglarsstwa.
Podstaw kajakarstwa górskiego.
Packraftingu oraz bikeraftingu.
Rufowej tratwy z dźwięk samochodowych Survivalu

Inga Szanty
Ognisko
Party Boat
Water speed dating
Bal Pirata

Ikony wody w jednym miejscu

Aleksander Doba
Kpt. Jerzy Radomski
Monika Witkowska
Krzysztof Starnawski
Kamila Kielar
Dominik Szmajda
Emil Witt
Maciej Badziak
Paweł Kepa
Zbigniew Malinowski
Jakub Poburka

Trzykrotnie przepłynął w Atlantyku kajakiem najdłuższy – 32-letni rejs w historii Polski odbył się na wodach Czukotki w towarzystwie niedźwiedzi polarnych i jaskini na świecie. Samolotem wylądował na kajaku na morzach po Pacyfiku, podróżował przez rzekę Kongo, na tratwie przez Amazonię, szantowaniem jacht Atlantyk i Pacyfik, między innymi światła.

Bilety od **170 zł**
Leczenie w celu wycieczki 120 zł
www.ludziewody.pl

Partnerzy: PAPER CUT.PL, PIANO MADRINO, RADIO KRAJÓW, Zagłębie, AOT, REGAL, 4+4, 100%

ETAPOWA WYPRAWA DOKOŁA ŚWIATA

19 sierpnia rozpoczął się trzeci epizod Etapowej Wyprawy Dokoła Świata im. Ignacego Domeyki i Władysława Wagnera. W roku setnej rocznicy nawiązania relacji dyplomatycznych Polska – Chile licealiści z CXXII LO im. Domeyki w Warszawie oraz studenci amerykańskiej uw wyruszyli w podróż do Ameryki Południowej, by promować Polskę i swoich bohaterów oraz przeprowadzić serię pokazów filmu fabularnego „Skarb Domeyki” ich autorstwa. Ponadto będą się spotykać ze swoimi rówieśnikami z chilijskich szkół i uniwersytetów. Patronami wyprawy są dwaj wybitni polscy podróżnicy: Ignacy Domeyko – geolog, obrońca praw ludności autochtonicznej, reformator szkolnictwa i górnictwa w Chile oraz Władysław Wagner – harcerz i żeglarz, pierwszy Polak, który opłynął świat pod żaglami, jeszcze przed II wojną światową, oraz był prekursorem rozwoju Brytyjskich Wysp Dziewiczych.

Etap Ameryka Południowa jest częścią projektu Etapowej Wyprawy Dokoła Świata, która została podzielona na siedem epizodów. W ramach nich wolontariusze przemierzą ponad 120 tys. km, odwiedzając ponad 30 miast w ponad 10 krajach na czterech kontynentach.

www.domeyko-wagner.org



Etap Ameryka Południowa

DOMEYKO & WAGNER
DZIEDZICTWO
HERITAGE
PATRIMONIO



SPOTKANIA Z FILMEM GÓRSKIM

Gośćmi Spotkań z Filmem Górskim będą Chris Bonington, Denis Urubko, Magdalena Gorzkowska i ekipa wyprawy na Nanda Devi. W trakcie festiwalu nastąpi połączenie na żywo z Andrzejem Bargielem, który będzie przygotowywał się do zjazdu z Mount Everestu. Gościem będzie też Jan Kiełkowski, który opowie o zdobywaniu Tatr na początku XX w. W ramach festiwalu odbędzie się Międzynarodowy Konkurs Filmowy, Bieg Przedni, Akademia Górska z PZU i Blogórsfera. Po raz drugi zostanie przyznana Nagroda Tatarnika im. Jerzego Kukuczki, a po raz pierwszy zostaną zorganizowane Mistrzostwa Europy we Wspinaczce Sportowej Małopolska 2019, w kategorii Boulderling. Festiwal odbędzie się w dniach 5–8 września w Zakopanem.

www.spotkania.zakopane.pl







Poranek. Ostrożnie rozsuwam suwak namiotu i biorę do ręki sztywną od szronu kurtkę. Jest początek jesieni, nocne przymrozki na wysokości 1700 m n.p.m. to nic dziwnego. Zakładam czapkę, grube rękawiczki i wychylam głowę spod przedsionka – przestało wiać, na niebie ani jednej chmurki. Sukces!

GÓRY PRZEKŁĘTE

Dawid Białowas

Po wczorajszej, nierównej walce z ulewą i wiatrem na przełęczy Ndrockes marzyliśmy tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w suchym namiocie. Niestety szlak miał wobec nas inne plany – niemal cały fragment zejścia z przełęczy prowadził nieprzyjemnym żłebem, wypełnionym luźnymi kamieniami, pniami przewróconych drzew i sypkim żwirem. Nietrudno się domyślić, że oberwanie chmury nie poprawiło naszej sytuacji i musiało skończyć się kilkoma wywrotkami. Przed zmrokiem udało się znaleźć w miarę płaską powierzchnię do rozłożenia namiotu. Pozostało przygotować makaron

na kuchence, rozgrzać się i trzymać kciuki, by stelaż naszego tymczasowego domu wytrzymał nieregularne podmuchy wzmagającego się wiatru.

SAMI NA SZLAKU

Albania zaserwowała nam takie przygody już pierwszego dnia trekkingu. Kuszeni dzięknością i wciąż niewielką popularnością Gór Przeklętych, zwanych także Alpami Albańskimi, od miesięcy z entuzjazmem krążyliśmy wraz z Kasią palcami po mapie. Albania, choć powierzchniowo niedorównująca nawet województwu mazowieckiemu, jest dość różnorodna. Podczas gdy rozbudowujące się nadmorskie miejscowości stają się coraz atrakcyjniejszym kierunkiem dla zagranicznych turystów, rozległe góry na północy kraju pozostają wciąż nieodkryte, nietknięte, dziewicze.

Ludzie mieszkający w tym miejscu podkreślają swoją odrębność i żyją według tradycji od

setek lat. W przeciwieństwie do reszty kraju są katolikami, co jednak nie przeszkadza im uznawać i czynnie stosować tzw. prawo wendety (czyli zemsty krwi). Do wielu ukrytych w dolinach miejscowości prowadzą wyłącznie kręte, niebezpieczne drogi pozbawione utwardzonej nawierzchni. Ba, do niektórych osad i od tej drogi trzeba iść pasterską ścieżką dobre kilka godzin.

Zaplanowaliśmy z Kasią około 50-kilometrową trasę, co miało zająć maksymalnie pięć dni. Start z doliny Valbonë, w miejscowości Dragobi, a meta w dolinie Shalë, we wsi Theth. Po drodze kilka szczytów i dolin, w sumie ok. 3500 m przewyższenia. Podczas całej marszruty musieliśmy być samowystarczalni – przenośny domek wylądował na moich plecach, Kasia targała kuchenkę turystyczną i kaloryczne jedzenie. Codzienna uczta z kabanosów, kaszy kuskus i suszonych owoców prędko stała się rytuałem, a poranna kawa plujka doskonałym początkiem każdego dnia.

NIE MA LEKKO

Groźne i z pozoru niedostępne – tak wyglądają góry z perspektywy doliny. Kasi z za ciężkiego plecaka nie wystaje nawet głowa – to oznacza, że podejście będzie dodatkowo męczące.





Przed wyjazdem dość skrupulatnie przetrząsnęliśmy internet w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji odnośnie do jakości szlaków, które wybraliśmy. Do tej pory żyliśmy w błędnym przekonaniu, że w sieci jest wszystko – otóż nie! Nawet na anglojęzycznych stronach trudno było się dowiedzieć, czy rzeczony trasy w ogóle istnieją. Pozostało wziąć w dłoń telefon z wgraną mapą i iść na żywioł.

Pierwsze półtora dnia było najtrudniejszym odcinkiem w nawigacji. Wytyczony przez Czechów czerwony szlak, co prawda całkiem niezłe oznaczony, często ginął w zarosłach lub kosodrzewinie. Choć jestem tradycjonalistą i wolę używać papierowej mapy (ona się nigdy nie rozładuje), to jednak z podobnych opresji ratowała nas funkcja GPS w telefonie. Zresztą nie bardzo miał kto wydeptywać naszą ścieżkę. Pierwszego dnia trekkingu nie spotkaliśmy nikogo, dosłownie. Ani turysty, ani tubylców – tylko my, śpiewające ptaki i nietknięta przyroda, z majaczącymi w oddali skalistymi szczytami. Czyż to nie pięknie? W tym samym czasie do ostatnich łańcuchów

przed Giewontem ustawia się długa kolejka, zapewne jest tłok i harmider. Zdecydowanie wolę albańską wersję turystyki górskiej. Oby tak pozostało jak najdłużej.

ZNIKAJĄCE OSADY

– *Thungathjeta, coffee?* – Kobieta donośnym głosem woła w naszym kierunku, witając się i od razu proponując kawę. Pierwszy dom, pierwsi napotkani ludzie, chętnie korzystamy z zaproszenia. Po chwili siedzimy przy szpuli od kabli zastępującej stół, a wiekowy gospodarz, pan Arben, rozlewa własnej roboty rakiję. Dosiada się dwóch mężczyzn koło trzydziestki. To synowie gospodarzy, pomagający rodzicom w obejściu. Bariera językowa jest duża, ale próbujemy się dowiedzieć, jak im się tutaj żyje. Qeresh to osada otoczona z czterech stron wysokimi górami – aby się stąd dostać do najbliższej drogi przejezdnej dla samochodu, trzeba maszerować ze cztery godziny. Dla nas, przyzwyczajonych do udogodnień cywilizacyjnych, to niewyobrażalne – wyjście do sklepu urasta do rangi całodniowej wyprawy.

NO TO CHLUP!

Nie ma to jak kieliszek mocnego alkoholu u gospodarza. W sam raz na rozluźnienie obolałych mięśni.



FOT. DAWID BIALOWAS



FOT. DAWID BIALOWAS

WIARA ŻYWA

Zagubiona między wysokimi górami wioska Curraj I Epërm jest już prawie wymarta. Jednak wewnątrz katolickiego kościółka, choć bardzo skromne, pozostaje zadbane.

Podobnych miejsc jest w Górach Północnoalbańskich więcej. Sporo większa miejscowość Curraj I Epërm, do której docieramy kolejnego dnia, jest miejscem na w pół wymarłym. Gdy schodzimy z przełęczy, u stóp rozpościerają się kamienne zabudowania. Dopiero z bliska dostrzegamy powybijane szyby, zachwaszczone podwórka – większość gospodarstw jest opuszczonych. Można się

domyślać, że trudne warunki bytowania w naturalny sposób wypchnęły mieszkańców w głąb kraju. Porzucając tradycyjne, proste życie w górach, szukają szczęścia gdzie indziej. Starych drzew się nie przesadza – toteż seniorzy pokroju pana Arbena i jego żony zostają w miejscu, w którym się wychowali, by dokończyć żywota – a dzieci pomagają im, jak mogą. Po śmierci pozostaje kamienny dom, którego pomieszczenia konsekwentnie przejmują we władanie natura.

O minionym, większym znaczeniu Curraj I Epërm może świadczyć zrujnowana wieża (przypominająca zamkową) nad potokiem, całkiem spory cmentarz i katolicki kościół. Korzystamy z tego, że jest otwarty – uderza niezwykle skromne wnętrze, zarazem bardzo dopieszczone. Pieczołowicie wystrugane ławki są pomalowane na kolorowo, zapewne przez lokalne dzieciaki. Na jednej z nich dostrzegamy wymalowaną twarz Jezusa z aureolą na tle ośnieżonych gór. Ołtarz, znajdujący się na podwyższeniu, wygląda tak, jakby przed chwilą było odprawiane nabożeństwo. Niedopalona świeca, otwarte pismo święte. Magiczne miejsce.

Zastanawia nas, jaka przyszłość czeka podobne miejscowości, niemające w najbliższych latach szans na jakiegokolwiek połączenie drogowe. Czy takie odcięcie od świata sprawi, że za jakiś czas te miejsca przestaną istnieć? Sądzę, że do rozwoju turystyki, przynoszącej realne dochody, jeszcze bardzo daleko, a obecnie mieszkańcy nie mają szans się z niej utrzymać.

MASÓWKA PO ALBAŃSKU

Każdy kij ma dwa końce – dla równowagi opowiem o przykładzie miejscowości Theth, która jest właściwie jedynym turystycznym miejscem w albańskich Górach Przekłetych. Jedynie 75 km dzieli Szkodrę, znajdującą się przy czarnogórskiej granicy, od pięknie położonej osady w górach, nad ostro wcinającym

się między pasma potokiem Lumi i Thethit. To doskonała baza wypadowa w wyższe partie gór, przystanek na trasie międzynarodowego szlaku Peak of Balkans, mekka motocyklistów i amatorów rajdów 4x4. Od kilku lat działają tu restauracje, punkt ratownictwa medycznego, sklep spożywczy (co nie jest takie oczywiste), pole namiotowe oraz coraz śmielej rozbudowuje się infrastruktura noclegowa. Stosunkowo łatwa dostępność (choć na części drogi dojazdowej nadal nie ma asfaltu) i bliskość cywilizacji sprawiają, że turystyka rozwija się w tym miejscu od dekad, coraz bardziej przypominając tę masową, przynajmniej w rozumieniu albańskim. Niestety tradycyjne domy z kamienia są zastępowane przez nijakie, ceglane bryły bez ładu i składu, budowane pod zachodnich turystów. Ceny również znacząco odbiegają od albańskiej normy.







To moja druga wizyta w Theth – na przestrzeni lat miejscowość konsekwentnie przestacza się z tradycyjnej osady w kiczowate nie wiadomo co, bez poszanowania dla własnej historii i dziedzictwa. Nawet główna atrakcja, wieża Nikoll Koçeku, służąca niegdyś jako schronienie przed zemstą dla sprawcy przestępstwa, została przypadkowo zabudowana wokół. Podobnie muzeum etnograficzne w kamiennym budynku pozostaje wciąż na głucho zamknięte. Samo podejście Albańczyków do obcokrajowców niestety pozostawia wiele do życzenia – czujemy się jak chodzące worki pieniędzy, które każdy chce oskubać, udając tylko dobre chęci i gościnność.

Zatrzymujemy się w Theth na niecałe trzy dni, by nabrać sił po wyczerpującym trekkingu i zwiedzić okolice „na lekko”. W tym czasie podziwiamy wodospad Grunasi, wdrapujemy się na przełęcz Qafa e Pejës (1705 m n.p.m.), próbujemy przyatakować podejście pod najwyższy szczyt w okolicy, Maja e Jezercës (2694 m n.p.m.), jednak moje rozwijające się przeziębienie i brak czasu niwelują ambitne plany. Może następnym razem.

BUKUR, CZYLI PIĘKNIE

Spotykałem się z opinią, że Góry Przeklęte w Albanii to jedno z ostatnich naprawdę dzikich i nienaruszonych ludzką ręką miejsc w Europie. Coś w tym jest. Wyłączając bliskie okolice Theth oraz szlak między Theth i Valboną, podczas trekkingu niełatwo kogoś spotkać, a nieliczni ludzie zamieszkujący wymierające miejscowości są bardzo gościnni i otwarci. Warto nauczyć się choć kilku słów w języku albańskim. Jedno z ważniejszych, *bukur*, znaczy po prostu „pięknie” i mogłoby być najczęściej wypowiedianym słowem podczas trekkingu.

Niemniej tych gór nie można lekceważyć – niska gęstość zaludnienia, mały ruch na szlakach, wysoki stopień ich zaniedbania i trudności nawigacyjne podnoszą poziom niebezpieczeństwa i ryzyka. Często trzeba być zdany wyłącznie na siebie. Ale z drugiej strony – czy nie jest cudownie zgubić się właśnie w tak pięknym, pozbawionym cywilizacji miejscu? ○

PIĘKNY O PORANKU

Wodospad Grunasi zachwyca, szczególnie wczesnym rankiem, zanim zjadą się turyści z pobliskiego Theth.



Dawid Białowąs

Zwiedza świat z plecakiem, na rowerze lub ładą. Szuka niekonwencjonalnych kierunków, spontanicznie organizuje wszystko sam. Odwiedził m.in. Islandię, Gruzję, Tadżykistan i Kirgistan, wielokrotnie Ukrainę. Zamiast zatłoczonych miast wybiera parki narodowe i zapomniane górskie drogi. Swoje przygody opisuje na blogu: www.gdzielosponiesie.pl



GDZIE SIĘ PODZIAŁY BABCIE?

Przełom lata i jesieni chyba już zawsze będzie mi się kojarzyć z powrotem do szkoły. O tej porze roku szczególnie żal mi dzisiejszych dzieci. Dlaczego pozbawiono ich największej frajdy dzieciństwa?

Trzydzieści pięć lat to pewnie za wcześnie na wspominki pt. „Za moich czasów...”, ale ja zawsze byłam sentymentalna. Do pierwszych spostrzeżeń z tej kategorii doszłam w połowie podstawówki, a dzisiejszy świat nie ma już nic wspólnego z tym, co pamiętam z najmłodszych lat. Pierwszy z brzegu przykład: wakacje u babci. Dziś na nie już nikt nie jeździ!

Część z was zrzuci winę na zmiany społeczne. Współczesna rodzina nie przypomina tej sprzed paru pokoleń, jest przeważnie mniejsza, bywa patchworkowa i ciężko się w niej połapać, kto jest dla kogo kim. W dodatku coraz częściej jest rozrzucona nie tylko po kraju, ale i po świecie, trudniej więc tak po prostu wpaść w odwiedzinę. Inny czynnik: rosnąca zamożność Polaków, która z wiejskich łąk wypycha ich na śródziemnomorskie plaże. Czynnik przeciwny: wprawdzie żyje nam się lepiej, ale coraz częściej

w miastach, a to oznacza, że duże wielopokoleniowe domy zostały wyparte przez funkcjonalne, lecz małe mieszkania, w których niewygodnie przyjmować gości na dłużej. Wreszcie należy wziąć pod uwagę rosnący apetyt na życie wszystkich zainteresowanych: a) dzieci, które muszą zrobić wrażenie na rówieśnikach, prześcigając się w egzotycznych kierunkach podróży, skrupulatnie odnotowywanych w mediach społecznościowych; b) rodziców, którzy nie tolerują wolnego czasu i czują przymus fundowania swojemu potomstwu ciągłego rozwoju (joga dla niemowląt, zajęcia z obsługi drona, przyspieszony kurs stepowania); c) babć i dziadków, którzy nie życzą sobie być tak nazywani, bo właśnie zaczęli drugą młodość, a od pichcenia wnuczętom obiadków wolą wernisaż lub tai-chi.

Dość roztrząsania przyczyn, pora opłakiwać skutki. A zatem: współczesne dzieci nigdy nie poznają prawdziwego życia, bo

nie jeżdżą latem do babci. Do takiej najprawdźwiwszej, wiejskiej. Niektórzy z was spróbują cicho protestować, że jednak wakacje u babci istnieją, ale w odpowiedzi będę zmuszona tylko pogardliwie prychnąć. Jaka wieś? Macie na myśli wypieszczony dom pod miastem, otoczony ogrodem, gdzie na przystryżonym trawniku łśni nadmuchiwany basen, a obok wznosi się trampolina? Gdzie zamiast szałasów w krzakach dla dzieci skonstruowano domek ze zjeżdżalnią, piaskownicą i ścianką do wspinaczki? Jaka babcia? Chodzi wam o szczupłą 60-latkę, która zamiast pączków z marmoladą serwuje wnukom koktajl z selerem naciowym? A dziadek? To niby ten wysportowany facet, który przewraca na grillu chude steki, rozprawiając o treningu przed maratonem? Kpina!

Należy sprostować kilka podstawowych przekłamań we współczesnej wersji „wakacji u babci”, jaką zarysowałam

powyżej. Po pierwsze, prawdziwe wakacje u babci nie mają nic wspólnego z komfortem. Nie po to wysyła się dzieci z miasta, żeby siedziały w stylowych wnętrzach z całodobowym dostępem do wi-fi. U babci trzeba się porządnie ubrudzić, dać pogryźć komarom, wpaść w pokrzywy, podrapać nogi o kłujące rżysko, a czasem wdepnąć w krowi placek. Z odrobiną strachu korzystać z wychodka, w którym skrzypią drzwi i brzęczą muchy, a pod koniec dnia umyć się w misce lub balii. Zamiast klimatyzacji – gwiaździste niebo, zamiast YouTube'a – wieczorne cykanie świerszczy. Kamienny sen gwarantowany!

Po drugie, wakacje u babci nie są dla przyjemności. Nie ma mowy o leżeniu brzuchem do góry przed Netflixem czy pławieniu się we wspomnianym basenie. Wakacje u babci to nie tydzień rozkoszy, ale dwa miesiące szorstkiego wiejskiego życia, w którym mieszczą się żniwa, młocka, wypas krów, karmienie kur i innych zwierząt w obejściu, a pod koniec lata – także wykopki. Na wsi nie ma pojęcia „za mały”. Mały czy duży: do roboty!

Po trzecie, babcie nie są atrakcyjne. Przeważnie nie są nawet szczupłe i jest to ich wielką zaletą, bo można się do nich porządnie przytulić. Nie pachną Chanel, ale mieszanką siana i mleka. Babcie nie dbają o kondycję ani nie żywią się zdrowo. Karmią za to pysznie i sycąco, a w powstawaniu dań czynny udział biorą dzieci. Począwszy od asystowania przy dojeniu, przez wybieranie kurom jajek, zbiór jagód i grzybów, aż po sceny bardziej dramatyczne: mord i skubanie kurczaka, a czasem oprawianie całej świni. Prawdziwy dziadek natomiast nie ma nic wspólnego ze szpakowatym przystojniakiem z reklamy Marlboro. Na co dzień donasza stare ubrania i rozczłapane buty, a jego jedyny urodowy rytuał to poranne golenie z użyciem kremu wyciskanego z tubki. Nie jeździ porządny samochodem, w którym zamocowano bezpieczny fotelik dla wnuczka. Zamiast tego sadza je na desce rzuconej w poprzek wozu albo na sterkę słomianych beli, pozwala im jechać w kabinie traktora, a zimą tym samym traktorem ciągnie je na sankach. Być może dziadek igra w ten sposób z dziecięcym życiem, ale jakie to wspaniałe życie!

Lato na wsi to nie ciąg efektownych przyjemności z Disneylandu. To rytuał przejścia, szkoła życia, inicjacja do świata dorosłych, w którym bywa kurz, pot



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

i łyzy, a czasem poleje się krew. Ale jest też masa śmiechu, zdrowego zmęczenia i endorfin, które pochodzą z natury, a nie ze smartfona. Może na wsi dzieci nie nauczą się gry w golfa ani języków obcych, ale z pewnością opanują grę w palanta i język swoich przodków, język zwierząt i uniwersalny język szczerych emocji. Może nie przejdą na zbilansowaną dietę, ale będą liźać palce nad prostym jedzeniem, które smakuje jeszcze bardziej, jeśli trzeba je własnoręcznie zebrać i przygotować, jak pierogi z leśnymi jagodami, rybę ze stawu pieczoną na patyku albo ziemniaki prosto z popiołu. Wakacje na wsi to nie zajęcia z giełdy, ale uczyć czegoś ważniejszego: wartości pracy i szacunku

do ludzi, którzy ją wykonują. I wreszcie: wspomnienia. Dziś podróżuję więcej niż kiedykolwiek, ale często mam trudności z zapamiętaniem wszystkich zaliczonych atrakcji. Za to lato na wsi pamiętam, jakby zdarzyło się wczoraj! ◉

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



Fot. Shutterstock

PROSZĘ, WEŹ SOBIE MÓJ PŁASZCZ...

Kacper Van Wallendael

Relacje turystów często poruszają temat niezwyklej gościnności Irańczyków, a także towarzyszącego jej specyficznego kodu grzecznościowego zwanego ta'arof. Podobno wielokrotnie w ciągu dnia można zostać zaproszonym na obiad do czyjegoś domu albo spotkać się z odmową przyjęcia zapłaty za taksówkę... Okazuje się jednak, że takim objawom uprzejmości należy stawić opór, w przeciwnym wypadku możemy zostać uznani za osoby źle wychowane.

Nie znoszę ta'arof – mówi nam Mehdi, młody przewodnik i nauczyciel angielskiego, kiedy jedziemy przez wyspę Keszem. – *Kiedyś siedziałem u kolegi w domu, rozmawialiśmy i piliśmy herbatę, kiedy nagle zrobiło się późno. Kolega zaproponował, że mogę u niego przenocować. Zgodziłem się. Później już nie miałem kolegi – dodaje ze śmiechem.*

Składanie innym osobom propozycji, które mają charakter czysto kurtuazyjny, jest nieodzownym elementem ta'arof. Jeżeli wybieramy się z Irańczykiem do restauracji, bardzo prawdopodobne jest, że będzie próbował zapłacić rachunek za wszystkie uczestniczące w kolacji osoby. Większość poradników dla podróżnych wskazuje, że w podobnych sytuacjach powinniśmy podziękować i odmówić, a jeśli osoba proponująca ponawia swoją ofertę, należy odmówić ponownie. Kiedy wymiana uprzejmości powtórzy się trzy razy, podobno

możemy uznać, że propozycja jest szczerą, i ostatecznie ją przyjąć.

Żeby to faktycznie było takie proste! Nawet jeśli pozwalam sobie nazwać ta'arof „kodem uprzejmości”, nie opiera się on na żadnym algorytmie, za którym możemy ślepo podążyć. O wiele trafniejsze jest zwracanie uwagi na sposób, w jaki dana propozycja została wyrażona. Jeżeli zatem Irańczycy mówią „bądź moim gościem” czy „pozwól mi zapłacić” i jednak nie podejmują działań w celu uiszczenia rachunku – wiemy, że mamy do czynienia z propozycją czysto grzecznościową i śmiało możemy za nią podziękować, a następnie sięgnąć po portfel.

Specyficzna etykieta dotyczy podróży autobusem. Jeśli ktoś proponuje nam, żebyśmy usiedli na miejscu, które się zwolniło, tak naprawdę sygnalizuje, że to on chce na nim usiąść. Warto tu zwrócić uwagę, że perska kultura traktuje jako niegrzeczne

stawanie do kogoś plecami. Dlatego kiedy w zatłoczonym środku komunikacji miejskiej zdarzy się, że Irańczycy staną do kogoś tyłem, zaraz pospieszą z przeprosinami, na co druga strona również odpowie stosownymi grzecznościami.

NIECH SIĘ TWOJA RĘKA NIE ZMĘCZY

Ale *ta'arof* nie jest wyłącznie niewiążącą wymianą grzeczności. Jest również elementem perskiej kultury gościnności, a to oznacza, że spora część propozycji kierowanych w naszą stronę jest jednak autentyczna. Irańczycy czują się autentycznie zobowiązani do zapewnienia swoim gościom wszystkiego, co najlepsze – przy czym obcokrajowcowi łatwo jest uchodzić za gościa z samego tylko faktu, że przyjechał z innego kraju. Oczywiście nie należy tej gościnności nadużywać (np. proponując drogą restaurację czy inną kosztowną rozrywkę). Ale jeśli widzimy, że ktoś sięga po

portfel, aby za nas zapłacić, albo po czajnik, żeby zaparzyć nam kolejną herbatę – warto na wszelki wypadek grzecznościowo odmówić, choć nie ma powodu, aby z góry całą tę sytuację uważać za teatrzyk.

– *Jeżeli ktoś fizycznie powstrzymuje cię przed czymś, to znaczy, że nie chodzi mu o zastosowanie ta'arof* – mówi Reza, inżynier z kurdyjskiego Sanandadżu, kiedy siedzimy na dywanie jego mieszkania i jemy ugotowaną wspólnie kolację. Gdy proponuję, że posprzątam, i zbieram się do zmywania naczyń, wyciąga rękę i delikatnym, acz stanowczym gestem zmusza mnie do tego, żebym usiadł z powrotem. – *Widzisz, o tym mówiłem* – uśmiecha się. – *Potem się tym zajmę.*

Faktycznie – wielokrotnie zdarzało się, że nawet gdy Irańczycy godzili się na zapłacenie przeze mnie rachunku w restauracji, potem i tak byli szybsi w wyciągnięciu portfela i podejściu do kasy. W jednym nawet przypadku gospodarz, w którego mieszkaniu nocowaliśmy, zabrał nas na śniadanie do kawiarni,

NIC NIEWARTE!

Jeśli na pytanie o cenę usłyszymy, że przedmiot nie jest nic wart, po prostu spytajmy jeszcze raz, żeby usłyszeć kwotę. Na szczęście ten rodzaj kurtuazji, stosowany między samymi Irańczykami, rzadko spotyka turystów.



FOT. ASTUDIO - SHUTTERSTOCK



FOT. TERVO/AN - SHUTTERSTOCK

z której musiał wyjść wcześniej i zostawić mnie w gronie swoich znajomych. Kiedy wychodziliśmy i próbowałem pokryć rachunek, okazało się, że był już uregulowany.

Tego rodzaju sytuacje potwierdzają tylko, że legendarna gościnność Irańczyków i Iranek nie jest wcale mitem. Ponadto język perski jest tak poetycki i przesiąknięty dziedzictwem *ta'arof*, że nawet zwroty używane na co dzień są w istocie elementami szczególnej uprzejmości. Frazy takie jak „niech się twoja ręka nie zmęczy” zamiast zwyczajnego „dziękuję” nie są rzadkością.

MIĘDZY NAMI, IRAŃCZYKAMI

Irański kod grzecznościowy to nie tylko zapraszanie, płacenie i wyręczanie w drobnych czynnościach. Kiedy skończenie posiłku w restauracji w Raszcie nas przerosło, zaproponowaliśmy naszemu znajomemu Farhadowi, aby poczęstował się choć częścią gigantycznej miski makaronu. Najpierw stanowczo twierdził, że nie jest głodny, bo najadł się swoją zupą.

Po kolejnej propozycji stwierdził, że chętnie skosztuje, i wziął nieśmiały kęs, aż wreszcie zaczął jeść zupełnie normalnie i dojadał nawet wtedy, gdy powoli zbieraliśmy się do wyjścia. Bez względu na to, czy w istocie był głodny, czy po prostu posiłek nagle mu zasmakował, musiał zacząć od odmowy. Ten kurtuazyjny gest jest tu konieczny i świadczy o dobrym wychowaniu, nie ulega osłabieniu nawet w relacjach z najbliższymi osobami.

– *Najbardziej nie lubię, kiedy chcę wyjść z żoną coś zjeść w restauracji* – opowiada Mehdi z Keszmu. – *Ona najczęściej wtedy mówi, że zaczęła już gotować obiad; potem, że nie ma ochoty wychodzić z domu, a wreszcie, że nie jest głodna. Okej – mówię – w takim razie pójdę sam, dobrze? Ona się zgadza, a kiedy wracam, okazuje się, że jest głodna, żadnego obiadu nie gotowała, a w ogóle to miała nadzieję, że zaproponuję wyjście więcej niż raz...*

Zagraniczny turysta, przy założeniu, że nie włada językiem perskim w stopniu umożliwiającym przynajmniej codzienne konwersacje, nie spotka się z większością

TA'AROF JEST WSZĘDZIE

Nie należy wierzyć ich zapewnieniom, że w domu czy w gronie przyjaciółek nie stosuje się *ta'arof*. Jest on tak wszechobecny, że wkrada się nawet w relacje między najbliższymi.



INACZEJ NIŻ U ARABÓW

Bazar w Iranie to nie bazar arabski – zazwyczaj nie ma tu potrzeby się targować. Ale żeby nie było za łatwo, czasami musimy przebrnąć przez zwyczajowy ta'arof.

przypadków *ta'arof*, które Irańczycy stosują wobec siebie.

– *Ta'arof jest tak ważną częścią naszej kultury, że używamy go jako czasownika* – śmieje się Hossein, kiedy w domu jego przyjaciół w Ardabilu siadamy do późnej kolacji. – *Kiedy powiem, że nie jestem głodny i dziękuję za jedzenie, usłyszę „nie ta'arofuj!” i będę się tłumaczył, mówiąc „naprawdę, nie ta'arofuję!”.*

Kiedy Irańczyk pyta w sklepie o cenę wybranego produktu, bardzo często usłyszy „to nie jest nic warte”. Musi więc zapewnić sprzedawcę, że jednak chce zapłacić, aby ten płynnie przeszedł do podania ceny. W przypadku obcokrajowców sprzedawcy z reguły bez wahania podają cenę – często wystukując ją na kalkulatorze albo zapisując na kartce, żeby było nam łatwiej zrozumieć.

ODMÓW WIĘCEJ NIŻ RAZ!

Kiedy jedna osoba chwali przedmiot należący do innej, np. element wystroju wnętrza czy

ubiór, druga często „oferuje” jej ten przedmiot w prezencie. Oznacza to, że jeśli dwie Iranki spotykają się na mieście, to ich konwersacja może wyglądać mniej więcej tak:

- *O, cześć, jaki masz ładny płaszcz...*
- *Dziękuję! Proszę, weź go sobie.*

Nie oznacza to oczywiście, że druga uczestniczka powyższego dialogu naprawdę jest gotowa oddać nowy, ładny płaszcz koleżance.

Kulturowy nakaz składania tego typu fikcyjnych propozycji jest w irańskim społeczeństwie silny, ale z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że nie będzie zastosowany wobec turysty. Tutaj właśnie posługiwanie się innym językiem niż perski znacząco zmniejsza skalę *ta'arof*.

Jeśli jednak ktoś chce nam coś ofiarować, należy grzecznie i stanowczo odmówić. Frazą kluczem, która oznacza, że ktoś naprawdę chce nam sprawić prezent, jest zwrot *ta'arof nakonid* („nie stosuj *ta'arof*” – czyt. „nie odmawiaj mi z grzeczności”)



FOT. KACPER VAN WALLENDAEL

BEZ SŁÓW

Czasami delikatny, acz stanowczy gest (np. wyciągnięcie dłoni) może być skuteczniejszy niż błędzenie w irańskim kodzie gościnności. Na zdjęciu chłopiec sygnalizujący chęć pomocy starszemu człowiekowi – symboliczna scena uwieczniona w brązie na jednej z ulic Szirazu.

lub *ta'arof nemikonam* („nie stosuję *ta'arof*” – czyt. „moja propozycja jest szczerą”). Dla pewności, że powyższe zwroty same w sobie nie są zawołanym *ta'arof*, warto jednak odmówić więcej niż raz, a potem grzecznie podziękować. Sam zostałem pewnego dnia z zaskoczenia obdarowany przez kierowcę Snappa (irański odpowiednik Ubera) muzułmańskim sznurem modlitewnym, a towarzyszyła temu wymiana stosownych propozycji i odmów, zgodnie z podanymi wyżej zasadami.

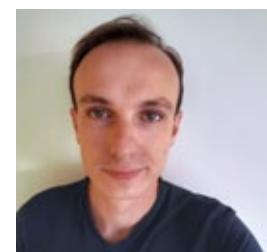
GRA W TA'AROF

Osoby powracające z wyjazdów do Iranu, choć wychwalają irańską gościnność pod niebiosa, często przedstawiają *ta'arof* jako rodzaj gry i fikcyjnej uprzejmości. Zgadzam się, że kulturowo narzuconej wymiany uprzejmości nie należy wykorzystywać przeciwko mieszkańcom i mieszkańcom Iranu, przyjmując wszystkie ich propozycje bez zastanowienia.

Należy przy tym wziąć pod uwagę, że „realna” gościnność w Iranie może powodować kłopotliwe obciążenie finansowe, w sytuacji gdy, ze względu na kryzys gospodarczy, żyje się w tym kraju niełatwo.

O ile pomiędzy samymi Irańczykami niezrozumienie kurtuazyjnego charakteru propozycji może być uznane za duży afront, o tyle wobec gości z zagranicy znajdują się oni często pomiędzy „młotem *ta'arof*” a „kowadłem gościnności”. Jeśli bowiem przyjmujemy propozycję, która w intencji osoby ją składającej była czysto grzecznościowa, może być za późno, by się z niej wycofała. Dlatego nasze odmowy i kontrpropozycje są w tym wypadku użyteczne – po prostu warto trochę pograć w *ta'arof*ową grę, aby nie wpędzić nikogo w kłopotliwą sytuację.

Zresztą w znaczącej większości Irańczycy i Iranki są uprzejmymi i wyrozumiałymi ludźmi, którzy na pewno wybaczą nam, jeśli niezbyt zręcznie poruszamy się po zawiłościach ich kultury. ○



Kacper Van Wallendael

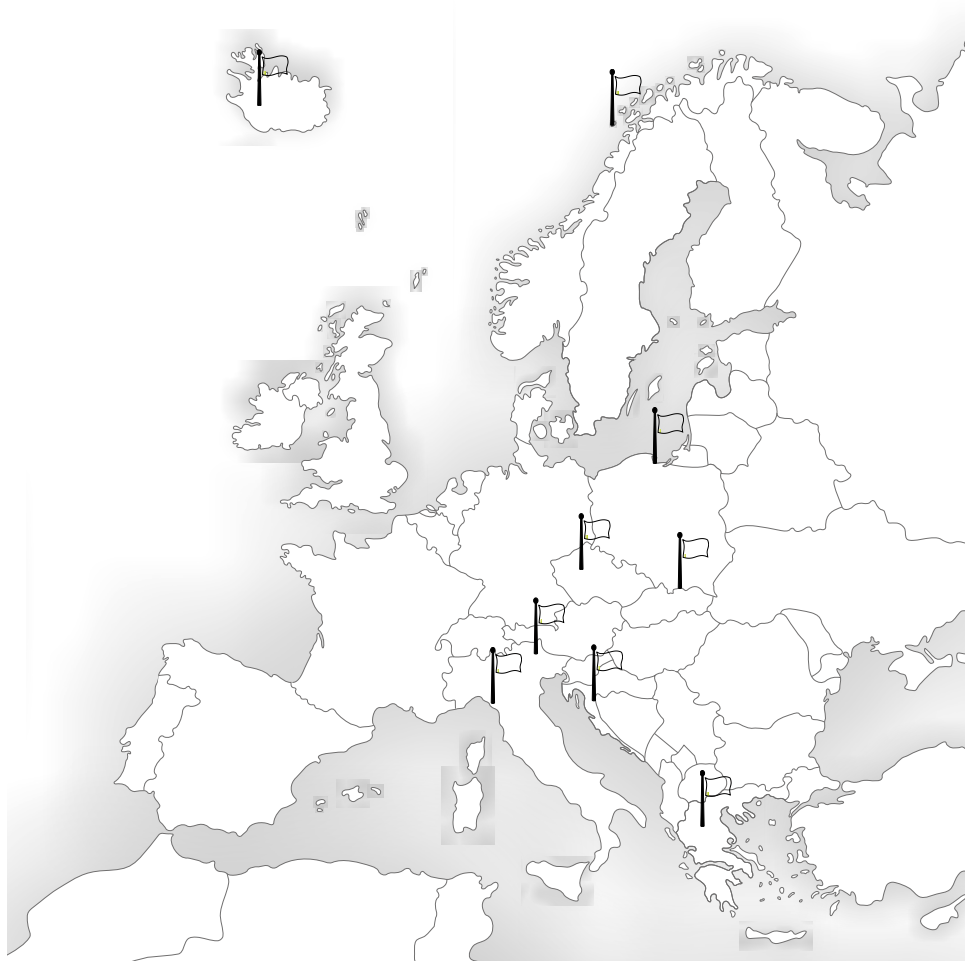
Podróżnik amator. Fotografuje socjodemokratyczną architekturę, zwiedza opuszczone miejsca, chętnie jeździ nocnymi pociągami. Z trudem znosi kraje, w których nie pije się kawy. Interesuje się turystyką niskobudżetową i zrównoważoną.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





CITY BREAK W SZCZAWNICY

Dobrym kierunkiem na krótki wyjazd i oderwanie się od codziennych spraw jest uzdrowisko Szczawnica. Nie sposób nie trafić tam na plac Dietla. Ryneček jest otoczony zmodernizowanymi budowlami w stylu przywodzącym na myśl alpejskie miejscowości.

Warto odwiedzić Café Helenka. Odrestaurowana kawiarnia ożywia atmosferę Szczawnicy – nie tylko za sprawą znakomitej kuchni, ale również dzięki cyklicznym wydarzeniom. Latem funkcjonuje tu strefa dla dzieci. Można usiąść na tarasie i delektować się Cuvée Speciale Szczawnica – francuskim



winem stworzonym specjalnie dla gości uzdrowiska. Tuż obok znajduje się pijalnia wód mineralnych. W jej wyjątkowym wnętrzu warto spróbować słynnych wód leczniczych. Każda z nich ma inne właściwości, dlatego najlepiej poradzić się personelu, która będzie najlepsza.

Poszukiwacze miejsca z wyjątkową historią powinni odwiedzić willę Marta i mieszczącą się w niej restaurację Bohema. Budynek powstał w XIX w. i nie utracił dekadentckiego charakteru. Było to miejsce spotkań śmietanki artystycznej – gościli tu Stanisław Ignacy Witkiewicz, Ada Sari czy Lena Żelichowska. Koniecznie trzeba spróbować domowych, ręcznie lepionych pierogów.

Dworek Gościnny, słynny „pieniński salon” otwarto po raz pierwszy w 1884 r. Doszczętnie strawiony przez pożar, został odbudowany ze zgliszczy w 2011 r. Obecnie są tu organizowane klasyczne wydarzenia jak festiwal muzyki Barokowe Eksploracje oraz koncerty gwiazd polskiej sceny, pokazy filmów czy festiwal Ethno Novo.

Na granicy rezerwatów przyrody w nieodległych Jaworkach leży stadnina Rajd. Tereny ją okalające są idealne dla wszystkich lubiących spędzić czas na łonie natury, nie tylko w siodle. Latem odbywają się tam półkolonie dla dzieci.

To tylko część atrakcji w stolicy Pienin. Korzystając z bliskości Dunajca, można wybrać się na rafting, a podczas górskich wędrówek zobaczyć wodospady.



49°25'N 20°29'E

Szczawnica leży między Nowym Targiem a Krynicą-Zdrój w dolinie potoku Grajcarka, który jest prąwym dopływem Dunajca.

Siedem miejsc tak niesamowitych, że trudno uwierzyć w ich istnienie. Twórcą części z nich jest natura, innym dopomógł człowiek. Każde wyróżnia się niezwykłym pięknem. Wirtualna Polska poleca siedem atrakcji, które wyglądają wręcz nierealnie.



Dolomity, Włochy

Olbrzymie wapienne turnie, które zdają się sięgać nieba, dzikie i skaliste płaskowyzę oraz pełne słońca wioski ukryte w zielonych dolinach – takie są Dolomity. Ich cechą charakterystyczną jest to, że nie stanowią wyraźnego łańcucha górskiego. Składają się z grup skalnych – wapieni i dolomitów, oddzielonych głębokimi dolinami i wysokimi przełęczami. Malowniczo poszarpane turnie, strome ściany skalne i urwiska są wynikiem działania erozji.



46°24'N 11°51'E

Grupa góriska w północno-wschodniej części Włoch, w Alpach Wschodnich.

Lofoty, Norwegia

To górzysty archipelag u północno-zachodnich wybrzeży Norwegii, od stałego lądu oddzielony cieśniną Vestfjorden. Widoki zapierają dech. Można tu podziwiać niewielkie porty pośród olbrzymich, poszarpanych szczytów, małe czerwone domki rybackie oraz kryształowo czyste morze.



68°08'N 13°36'E

Archipelag na Morzu Norweskim u północno-zachodnich wybrzeży Norwegii.



Karlštejn, Czechy



To jeden z najświetniejszych i najczęściej odwiedzanych czeskich zamków. Znajduje się ok. 30 km na południe od Pragi i zachwyca architekturą oraz położeniem. XIV-wieczna budowla została zbudowana w stylu gotyckim w otoczeniu zielonych wzgórz. Jej charakterystyczna strzelista bryła z wieżyczkami przypomina typowe zamki z bajki.



49°56'N 14°11'E

Zamek znajduje się w miejscowości Karlštejn, 8 km od miasta Beroun, w kraju środkowoczeskim.

Meteory, Grecja

To jedna z największych atrakcji Grecji. Pionowe skały w kształcie maczuga i szpikulców wydają się niedostępne, a jednak na ich szczytach wybudowano klaszatory. Do wielu z nich mnisi dostają się w koszach wciąganych na linach. Część jest osiągalna dla turystów – szczyt zdobywa się, wchodząc po stromych schodach. Ten niezwykle krajobraz docenili filmowcy: kręcono tu liczne kinowe hity, m.in. jeden z odcinków Bonda – „Tylko dla twoich oczu” czy film akcji „Sky Riders”.



39°43'N 21°38'E

Masyw skał w środkowej Grecji na północno-zachodnim krańcu równiny tesalskiej.



Vernazza, Włochy



Vernazza to jedna z pięciu miejscowości należących do Cinque Terre, fragmentu riwieri liguryjskiej, który wraz z Portovenere i wyspami Palmaria, Tino i Tinetto w 1997 r. został wpisany na listę UNESCO. Turkusowa woda, kolorowe elewacje budynków oraz skalisty klif tworzą niesamowity obrazek. Warto się zatrzymać na dłużej w tutejszym porcie i wygrzewać w promieniach słońca.



44°08'N 09°41'E

Miasteczko leży na terenie Parku Narodowego Cinque Terre we włoskiej Ligurii.

Gullfoss, Islandia



Gullfoss, czyli „złoty wodospad”, to miejsce, które każdy turysta będący w Islandii musi zobaczyć. Woda płynie z rzeki Hvítá (z isl. „biała rzeka”), która spada w 32-metrową przepaść. W pogodne dni promienie słoneczne prześwietlają obłoki unoszącej się nad wodospadem wody, stąd jego nazwa.



64°20'N 20°07'W

Wodospad znajduje się na rzece Hvítá w południowo-zachodniej części Islandii.

Jeziora Plitwickie, Chorwacja

Park Narodowy Jezior Plitwickich jest położony w środkowej części Chorwacji, na terenie masywu górskiego Mała Kapela. Obejmuje porośnięty soczystozielonym lasem, unikatowy obszar prawie 30 tys. ha, w którego sercu znajduje się 16 szmaragdowych jezior połączonych mniejszymi i większymi wodospadami. Między tarasowo usytuowanymi zbiornikami, połączonymi licznymi strumieniami i kaskadami uformowanymi w skałach dolomitowych i wapiennych, znajdują się szlaki turystyczne. Zwiedzanie ułatwia statek i kolejka (wliczone w cenę wstępu).




44°52'N 15°35'E

Park narodowy położony w środkowej części Chorwacji, ok. 140 kilometrów od Zagrzebia.



Bartosz Król BIRSZTANY, OGRÓD PIĘCIU TERAPII



Kiedy w Polsce zapytamy o litewskie uzdrowisko, dziewięć na dziesięć osób wskaże Druskienniki. Ale rozstawiony przez marszałka Józefa Piłsudskiego kurort ma poważną konkurencję, i to z bogatą historią. Birsztony są idealne, aby się wyciszyć, zregenerować i z zapasem sił wrócić do codziennych obowiązków. To bardzo malownicze miejsce, z cudownymi wodami leczniczymi.

ŚCIEŻKA ZDROWIA

Ogród ks. Kneippa robi wrażenie lekkiego chaosu, jednak każdy jego element został szczegółowo zaplanowany zgodnie ze wskazówkami XIX-wiecznego bawarskiego duchownego. A był on wielkim orędownikiem hydroterapii, ziołolecznictwa i zbilansowanej diety.





Marcinkevičius, znany litewski poeta i dramaturg. A o trafności jego słów najlepiej świadczy fakt, że przez długi czas nikomu nie udało się zaznaczyć poprawnie zakoli w tych okolicach. Zadaniu temu nie mogli podołać ani przewoźnicy rzeczni, ani kartografowie przygotowujący słynną „Magni Ducatus Lithuaniae”, czyli dokładną mapę Wielkiego Księstwa Litewskiego z początku XVII w.

POLOWALI TU KSIĄŻĘTA

Pierwsze wzmianki o Birsztanach pochodzą z 1382 r. To właśnie wtedy w kronikach krzyżackich licząca obecnie około trzech tysięcy mieszkańców miejscowość została opisana jako „sadyba nad słoną wodą”. Przy czym „słona” nie oznaczała wcale morskiej, lecz... mineralną. Niejaki Wigand z Marburga w swoich zapiskach wspominał, że w czasie wyprawy na Litwę w 1382 r. mistrz Kun von Hatenstein podzielił zakonne wojsko na trzy części, które miały uderzyć na Punię,

Nawet stary Niemen został oczarowany Birsztanami, do których urody sam się zresztą przyczynił, tworząc unikalny pomnik przyrody w postaci sześćdziesięciokilometrowych zakoli. „Żadna europejska rzeka się tyle nie napracowała” – tak o Birsztanach pisał Justinas



FOT. BARTOSZ KROL

Olitę i właśnie Birsztany. Nazwa Birsten lub Birstan padła także w prawie 20 notatkach szpiegów krzyżackich z lat 1384–1402, które opisywały m.in. drewniany zamek na stromym nadniemeńskim wzgórzu...

Po ustaniu najazdów krzyżackich o Birsztanach pisano już w innym kontekście – jako o ulubionym miejscu polowań wielkich książąt litewskich. Tamtejszy zamek i dwór stały się letnią rezydencją władców Litwy, którzy z lubością korzystali z pobliskich łowisk królewskich. Chętnie bywał tam zarówno sam Witold Wielki, jak i Kazimierz Jagiellończyk z synami. Dopiero po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów księżę włości w Birsztanach straciły na znaczeniu na rzecz położonych nieco dalej na północ Pren.

W 1846 r. o Birsztanach znowu zaczęło być głośno – tym razem już jako o uzdrowisku. Wszystko zaczęło się od jednego z lekarzy kurortu w Stokliszkach. Zainteresował się on birszańskimi źródłami i wysłał tam chorą, której nie pomagały wody lecznicze w miejscu jego pracy. Głosy zachwyty o cudownych właściwościach tamtejszych wód mineralnych i o tamtejszym powietrzu (wyjątkowo delikatnym, nasyconym fitocydami i lekkimi jonami ujemnymi powietrza, które działa niczym ogromny inhalator) nie okazały się przesadzone. Pacjentka po kuracji w birszańskim szpitalu ozdrowiała, co przyczyniło się do oficjalnego utworzenia kurortu balneologicznego. Szybko też zaczęli doń zjeżdżać nie tylko Litwini, ale także Rosjanie i Polacy.

Jak informują miejskie kroniki, tuż przed wybuchem I wojny światowej w Birsztanach – poza coraz liczniejszymi willami czekającymi na gości – działały 72 łaźnie i trzy hotele, mające łącznie około dwustu pokoi.

POWRÓT KURORTU

W czasie I wojny światowej miasteczko zostało poważnie zniszczone, ale dzięki wsparciu litewskiego Czerwonego Krzyża udało się przywrócić mu utracony blask. Nie przez przypadek na budynku najstarszego i działającego do dziś sanatorium (Tulpe, 1927 r.) widnieje charakterystyczny emblemat tej organizacji. Wypada wspomnieć, że Birsztany, jako główny litewski kurort, nie miały wtedy konkurencji,



© J. BARTOSZ WEL

bo Druskienniki należały przecież w dwudziestolecie międzywojennym do Polski. Po 1945 r., mimo braku większych zniszczeń, birszański kurort znalazł się jednak na drugim planie i dopiero w ostatnich latach odzyskuje swoją dawną renomę.

Władze miasta starają się jednak nie przedobrzyć z popularnością. Spokój i kameralna atmosfera są dodatkowym atutem Birsztan, leżących niespełna 50 km na południe od Kowna. Nawet w wakacyjne weekendy próżno

POPULARNY WITOLD

W przyjaznym parku zdrojowym napotkamy żółtą Biuветé (z fr. *buvette* – „pjalnia wód”). Trudno sobie wyobrazić pobyt w miasteczku bez zawitania w to miejsce i skosztowania popularnej na Litwie wody mineralnej Vytautas (po naszym Witold).

**NAD NIEMNEM
POD BIRSZTANAMI**

Ta owiana legendą rzeka ma 937 km długości, płynie przez Białoruś, Litwę i Rosję, a w okolicach Birsztan jej zakola, łąki i lasy tworzą idylliczny krajobraz.

szukać hucznych dyskotek, do Birsztan nie jeździ się po szaloną zabawę, lecz po zdrowie. I obcowanie z naturą – dzięki unikalnemu Parkowi Regionalnemu Zakola Niemna, jednemu z największych rezerwatów przyrody na Litwie. Tutejszy Niemen dostarcza bowiem niezapomnianych przeżyć podczas rejsów statkami wycieczkowymi, kajakami czy nawet smoczymi łodziami stylizowanymi na te, którymi pływali wikingowie. Na długo w pamięci pozostaje też widok rzeki z kosza podwieszonego do balonu lub z pokładu małego samolotu, który można wynająć na nieodległym lotnisku w Pociūnai.

Birsztany to miejscowość związana z muzyką. W ostatni weekend marca odbywa się najstarszy litewski międzynarodowy festiwal jazzowy – Birštonas Jazz. Ale praktycznie co weekend w centrum miasteczka lub w którymś z sanatoriów odbywają się różnego rodzaju koncerty, pokazy czy inne wydarzenia artystyczne. Aby być na bieżąco, wystarczy zapytać w Centrum Informacji Turystycznej, które znajduje się przy ul. Balysa Sruogi 4, gdzie wśród przygotowanych materiałów znajdziemy oczywiście opracowania w języku polskim.

Birsztany przyciągają artystów. Oprócz wspomnianego na wstępie Marcinkevičiausa



walory miejscowej natury upamiętnili w swoich pracach m.in. pisarz Władysław Syrokomla i malarz Nikodemus Silvanavičius. Tutaj też z traumy po obozie koncentracyjnym w Stuthofie pod Gdańskiem leczył się Balys Sruoga, pisząc wspomnienia zatytułowane „Dievų miškas” („Las bogów”).

Więcej o historii Birsztan dowiemy się w jego muzeum. Są tam m.in. opisane losy pięknego kościoła neogotyckiego pw. św. Antoniego z Padwy, którego najcenniejszym dziełem jest obraz „Święty Józef z dzieciątkiem”, pochodzący jeszcze z dawnego birsztańskiego kościoła (z XVIII w.). Ważnym miejscem dla

mieszkańców jest także plac Jana Basanowicza (Jonasa Basanavičiaus) z pomnikiem tego lekarza, pisarza, a zarazem bohatera narodowego (był jednym z sygnatariuszy aktu niepodległości Litwy w 1918 r.).

WODA DOBRA NA WSZYSTKO

Turystyczna mapa Birsztan składa się jednak głównie z obiektów, które służą poprawie zdrowia i ogólnej kondycji przebywających tu gości. Trzeba wymienić przede wszystkim jedyną na Litwie tężnię. Ma oryginalną architekturę, a po zmroku efektowne





podświetlenie. Innym chętnie odwiedzanym miejscem jest ogród Kneippa. Filozofia niemieckiego duchownego, który twierdził, że „woda leczy wszystko, woda czyni cuda, a profilaktyka jest lepsza niż leczenie”, od lat jest bliska Birsztanom. Sebastian Kneipp wierzył, że najlepszym sposobem na zachowanie dobrego zdrowia do późnej starości jest regularne stosowanie pięciu terapii: wodnej,

ruchowej, zielonej, żywieniowej i porządkującej. W Birsztanach przy samym niemal deptaku można oddać się dwóm pierwszym terapiom, które hartują organizm i wzmacniają układ odpornościowy. Trzymanie rąk w zimnej wodzie aż do uczucia silnego zimna, chodzenie boso po ścieżce refleksoterapeutycznej czy maszerowanie w wodzie krokiem bociana dostarcza mnóstwo śmiechu, a uwiecznione



skrzydeł, w których mieszczą się luksusowe pokoje i gabinety. Ma też elegancką restaurację oraz własną plażę nad niewielkim zalewem. Bogatym i nowoczesnym zapleczem zabiegowym dysponuje także sanatorium Egle. Jego wizytówką są trzy baseny (jeden do pływania sportowego i dwa do ćwiczeń oraz zabaw), a także taras z urzekającym widokiem na Niemen, który przepływa tuż obok. Obojętnie które z tutejszych sanatoriów wybierzemy, wszędzie bez większych problemów dogadamy się w języku polskim.

Birsztany słyną z wód mineralnych, nie sposób więc nie zajrzeć do publicznej pijalni. Z kranów leci woda Vytautas – ta sama, którą bez problemu nabędziemy na terenie całej Litwy. Pita bezpośrednio z kranu smakuje wyjątkowo, a ponadto korzystnie wpływa na drogi trawienne, mięśnie, kości, skórę i przemianę materii. Co ciekawe, jeszcze pół wieku temu takich ogólnodostępnych źródeł było w Birsztanach aż dziewięć. Dwa z nich zostały jednak zalane po wybudowaniu w 1969 r. kowieńskiej hydroelektrowni, resztę zaś zamknięto. Pamięć o mineralnym bogactwie jest tu żywa m.in. dzięki herbowi miasta: umieszczono w nim ni to rybę, ni to wieloryba, z którego paszczy tryska życiodajna woda.

A gdy już się nią pokrzepimy, możemy wyruszyć na Górę Witolda. W średniowieczu to właśnie na tym wzgórzu stało drewniane grodzisko będące ważnym ośrodkiem strategicznym. To jedno z najwyższych wzniesień na całej Litwie, z którego dobrze widać, jak bardzo w swych zakolach „pokręcony” jest Niemen. ○

ZIELEŃ KURACYJNA

Kurhaus w Birsztanach (po lewej) otwarty w 1855 r. Obecnie słynie zwłaszcza z koncertów muzyki poważnej, często odbywają się tam również wystawy artystów plastyków. W takiej samej zielonej tonacji jest charakterystyczny budynek Centrum Informacji Turystycznej, (powyżej) gdzie można kupić pamiątki i zaplanować szczegółowo pobyt.



Bartosz Król

Łódzianin, miłośnik zwierząt i muzyki rockowej. Z wykształcenia prawnik, z zawodu dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Był w 50 krajach i planuje kolejne wojaże. Potrafi docenić także piękno ojczystych stron, po których wędruje z aparatem w dłoni.

na zdjęciach stanowi niecodzienną pamiątkę z pobytu „u wód”.

Od kilku sezonów Birsztany mogą się pochwalić podobno najlepszym spa w krajach bałtyckich. Kompleks, usytuowany przy wejściu od strony Kowna, powstał na bazie dawnego ośrodka treningowego dla radzieckich sportowców. Rzuca się w oczy za sprawą okazałej kopyły i odchodzących od niej



DŁUGO W DRODZE
Lukasz Długowski

FOT. FELIX KLIMASZEWICZ



OSTATNIA DZIKA RZEKA cz. 2.

W poprzednim numerze opowiadałem Wam o tym, jak zaczęliśmy budować tratwę, żeby spłynąć nią Bugiem. Po co? Po to, żeby pokazać ostatnią dziką rzekę w Polsce, opowiedzieć o tym, jaką ma wartość, i ochronić ją przed zniszczeniem w razie realizacji planu budowy międzynarodowej drogi wodnej E40. Dzisiaj część druga.

Po tym, jak całą siódmką stanęliśmy na balach budowanej przez nas na Bugu tratwy, a te nie zatonały, reszta wydawała się formalnością. Przykręcić kantówki, deski, zbudować chatkę – dużo roboty, ale da się zrobić. Podzieliliśmy się zadaniami i wyraźnie posuwaliśmy się do przodu. Stojąc cały dzień po kolana w wodzie, mierzyliśmy, cięliśmy, wbijaliśmy i wkręciliśmy. Pracę przerywał nam deszcz, ale albo nie zwracaliśmy na niego uwagi, albo kiedy naprawdę ostro padało, chowaliśmy się w samochodzie i dojadaliśmy zimną pizzę. Wieczorem mieliśmy gotowy

pokład i pierwsze elementy domku. Jak na opóźnienie – drewno miało być rano, a dotarło po 14 – byliśmy w naprawdę dobrej sytuacji. Następnego dnia nie wydarzyło się nic, co warte byłoby opisywania. Aż do momentu wodowania. Tratwa wyglądała cudnie. Cała drewniana, skromna, prosta. Pięknie zaprojektowana i wykonana. Przypominała trochę kapliczkę na wodzie.

Pierwszym wyzwaniem było wychnięcie jej z mielizny na otwartą wodę. Cztery i pół tony drewna nie bardzo chciało współpracować. Na szczęście było nas siedmioro i po pół godzinie stękania

i przeklinania wypchnęliśmy ją w nurt Bugu. I wtedy wszystko stało się jasne: ta tratwa nie popłynie. Tył, nawet bez dodatkowego obciążenia, był pod wodą. Przód lekko wystawał, ale jeśli dociążyć tratwę sprzętem i ludźmi, też będzie zanurzony. „Co za piękna katastrofa!” – powiedziała by Grek Zorba.

Tratwa rzeczywiście wyglądała zjawiskowo. Jedyne mankament: tonęła. To koszmarny moment w życiu każdego pomysłodawcy projektu. To był najgorszy zakładany przeze mnie scenariusz i właśnie on się ziścił. Wróciliśmy do agroturystyki i zastanawialiśmy się,

co zrobić. Następne trzy dni przypominały scenę z filmu „Apollo 11”, kiedy na statku kosmicznym dochodzi do awarii i inżynierowie na Ziemi próbują wcisnąć okrągłą rurę w kwadratowy otwór, żeby zapewnić załodze dostawę tlenu. Jedno było pewne: skutnik, z którym konsultowaliśmy projekt, pomylił się w obliczeniach. Każdy z 10 sosnowych bali miał mieć wyporność na poziomie 200 kg, a w praktyce okazało się, że ma nie większą niż 100 kg. Dlatego tratwa szła pod wodę. Musieliśmy pozbyć się bali. Pomysłów było mnóstwo: a to żeby zrezygnować z czterech zewnętrznych kłód i w ich miejsce wprowadzić beczki, a to żeby zamiast beczek użyć wielkich dętek, styroduru, specjalnej pianki, a w końcu – żeby podnieść tratwę ciągnikiem i zamocować pod nią beczki. Dyskusjom nie było końca, tymczasem woda w Bugu opadała z dnia na dzień. Dodatkowo w Warszawie na mój powrót czekała żona w ósmym miesiącu ciąży. Zdecydowałem, że muszę zaryzykować i wybrać najtrudniejsze rozwiązanie, ale jednocześnie z największym prawdopodobieństwem sukcesu: tratwę trzeba rozebrać i postawić od nowa na beczkach.

Znalazłem rolnika, który akurat miał do sprzedania beczki. Zająchałem na miejsce z Izą z nieodległego Konstancy nowa, wolontariuszką, która pomagała nam w budowie. Kupiliśmy osiem dwustulitrowych beczek po ropie, a kiedy mieliśmy już odjeżdżać, rolnik pokazał mi starą skrzynię:

– *Jak nie bierzecie, to ją spalę* – powiedział.

Wzięliśmy, a potem okazało się, że to tradycyjna podlaska skrzynia, tzw. posagówka, w której panna młoda dostawała od swoich rodziców posag, gdy wychodziła za mąż. Wartość odnowionej skrzyni: 500 zł. Nasza służyła na tratwie jako magazyn dla narzędzi i jedzenia.

Kiedy przejeżdżaliśmy łąkami nad Bugiem, żeby dobić do naszej skutni, wpadliśmy na patrol straży granicznej. Co też oni musieli sobie pomyśleć, kiedy zobaczyli dwa samochody wylądowane wielkimi beczkami po paliwie?

„Przemyt! Tylko głupki prowadzą go w złą stronę! Zamiast z Białorusi do Polski, to na odwrót”. Tak wyobrażałem sobie ich rozmowę.

Minęli nas i pojechali dalej, ale potem jednak zawrócili i nas zatrzymali.



Zdawałem sobie sprawę z tego, jak absurdalnie wyglądamy, więc od razu wyskoczyłem i zacząłem wszystko tłumaczyć:

– *Zbudowaliśmy tratwę, ale nam zatonęła, musimy ją postawić na beczkach, te są co prawda od ropy, ale nic w nich nie ma.* – Postukałem w kilka z nich. Odpowiedziało tylko puste, metaliczne echo. Pogranicznicy słuchali, ale nie dowierzali. Nawet kiedy odjeżdżali, to wyglądali, jakby nadal nie rozumieli, o co chodzi. Pomimo tego puścili nas wolno.

Do ośmiu zakupionych beczek Ania, wolontariuszka z Mierzwic nad Bugiem, dowiozła nam jeszcze dwie. Obdzwoniłem znajomych z Warszawy, prosząc o pomoc w przebudowie. Nikt nie odmówił. Wszyscy z dnia na dzień stawili się nad Bugiem. To było niesamowicie wzruszające. I podczas pierwszego etapu budowy, i podczas przebudowy: przyjeżdżali nam pomóc ludzie, którzy wcale nie musieli tego robić. Nikt im nie kazał, nie płacił, po prostu chcieli pomóc. Cały czas do mnie to nie dociera.

Dzień przed przyjazdem wolontariuszy rozpocząłem z Mateuszem, operatorem i fotografem, który miał mi towarzyszyć w spływie, zrywanie tego, co tylko było możliwe. Ściągnęliśmy dach, deski z pokładu i ścian. Został domek stojący na rusztowaniu pokładu i dziesięć pechowych bali.

W sobotę rano nad Krzną stanęło osiem osób, siedmiu facetów i jedna

kobieta. Praca trwała przez następne osiem godzin. Usunęliśmy osiem z dziesięciu bali (zostały tylko skrajne, po obu burtach), a w ich miejsce wprowadziliśmy dziesięć 200-litrowych beczek. Żeby to w ogóle było możliwe, ściągnęliśmy domek, rozmontowaliśmy praktycznie wszystko poza rusztowaniem pokładu i zmontowaliśmy z powrotem. Wszystko działało jak w dobrze naoliwionej maszynie. Każdy robił to, co do niego należało, jakbyśmy nie byli grupą ludzi z łapanki, tylko zgraną ekipą ciesielską. Wieczorem tratwa była gotowa. Teraz najważniejsze: czy będzie pływać? Wypchnęliśmy ją z Krzny na nurt Bugu i... unosiła się na wodzie! Żadna część pokładu nie była pod wodą, co więcej – całość wystawała o dobre 20 cm ponad rzekę.

Następnego dnia spakowaliśmy z Mateuszem wszystkie graty, uprosiliśmy rolnika, żeby zawiózł nas nad Bug quadem, bo mieliśmy jakieś 150 kg sprzętu. Przenieśliśmy wszystko na tratwę i odbiliśmy od brzegu. Ruszyliśmy w podróż, o której marzyłem przez ostatnie dwa lata. ◉

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy.

WYSPY ZACZAROWANE

Adam Stecyk



Siedzimy przy kawiarnianym stoliku w centrum Quito, stolicy Ekwadoru. Wszyscy podnieceni i szczęśliwi. Decyzja o tej wyprawie zapadła spontanicznie, nie była planowana. Przed podróżą do Ameryki Południowej analiza wycieczek na Wyspy Żółte nie pozostawiała złudzeń: nie stać nas na to. A jednak się udało, polecimy na Galapagos!



Budżet został napięty do granic możliwości, pożyczki zostały zaciągnięte – nierealne stało się możliwe. Wszystko za sprawą szczęśliwego zbiegu okoliczności: nagle staniały ceny lotów AeroGal, w dziewiczy rejs miał wyruszyć też nowy katamaran i w związku z tym zakwaterowanie na nim było w promocyjnych warunkach.

Podczas trzygodzinnego lotu, z międzylądowaniem w Guayaquil, nie mogę zmrzążyć oka. Niespiesznie wertuję zakupiony wczoraj przewodnik. Już za chwilę lądujemy na San Cristóbal, jednej z trzynastu dużych wysp Archipelagu Kolumba – taka jest urzędowa nazwa Galapagos.

Po przejeździe do głównego miasta wyspy, Puerto Baquerizo Moreno, przychodzi czas na zaokrętowanie. Stoję oparty o nadbrzeżną balustradę, obserwuję tańczące łajby i stateczki kołysane przez popołudniową bryzę od Pacyfiku. Szczerze mówiąc, pierwsze wrażenie nie jest najlepsze. Co prawda nasz katamaran ma być nowy i solidny, ale kto wie, co tu zaraz podpłynie. Dookoła bowiem kołyszą się

stare, odrapane krypy z łuszczącą się farbą, a jedynym żywym i egzotycznym akcentem są wylegające się na ich dziobach lwy morskie.

Wszystkie obawy znikają jednak w mgnieniu oka, gdy do portu wpływają dwa potężne, lśniące w słońcu katamarany. Otrzymujemy zatem to, co było obiecane, a nawet więcej: wygodne, dwuosobowe kajuty z prysznicem i małym bulajem, duży salon, pełniący jednocześnie funkcję jadalni, oraz przestronny taras z leżakami. Katamaran ma dwa pokłady – dolny, na którym mieszczą się kajuty i taras, oraz górny, stanowiący mostek kapitański i punkt widokowy.

WIELKA HISTORIA MAŁEGO ARCHIPELAGU

Gdy w 1530 r. biskup Panamy Tomás de Berlanga zmierzał do Limy w celu zakończenia sporu o spuściznę po inkaskim podboju, pogoda zaczęła wariować. Nagle ustał wiatr, fale prawie zanikły i zapanowała przejmująca cisza. Po kilku godzinach dryfowania statek

POPOŁUDNIOWA SJESTA

Niestety, konkurencja trochę przeszkadza. Lwy morskie kręcą się, wiercą i moszczą na piasku, więc nie ma mowy o spaniu. Jest za to kontakt wzrokowy i robienie głupich min.



FOT. ADAM SIEBKW



FOT. ADAM STĘCYK

został porwany przez silny prąd i zepchnięty w głąb Pacyfiku. Żeglarze, którym zabrakło wody pitnej, zostali zmuszeni do lądowania na nieznaną wyspę, gdzie przeżyli dzięki łatwym do upolowania żółwiom słoniowym, które dostarczały życiodajnego pożywienia. Tak wyglądało odkrycie Galapagos.

W kolejnych latach, zwłaszcza w XVI i XVII w., archipelag stał się bazą wypadową piratów i miejscem ukrywania skarbów złupionych w hiszpańskich portach kolonialnych. W tym czasie upowszechniła się nazwa Wyspy Zaczarowane (Las Encantadas), odnosząca się głównie do silnych prądów morskich, które utrudniały przybijanie statków do brzegu i sprawiały czasami wrażenie, że te wyspy poruszają się po oceanie.

W związku z Galapagos zrodziła się także legenda Robinsona Kruzoe, a to za sprawą szkockiego pirata Aleksandra Selkirka, który na początku XVIII w. spędził ponad cztery lata na jednej z bezludnych wysp, ale archipelagu Juan Fernández na południowym Pacyfiku. Gdy w 1708 r. rozbił się, szczęśliwie uratowany

przez korsarza Woodesa Rogersa, dotarł na Galapagos, jego legenda zaczęła już żyć własnym życiem.

Jednak największą sławę Wyspy Żółwie zawdzięczają Karolowi Darwinowi. Choć wielki badacz początkowo nie zdawał sobie sprawy z doniosłości swoich obserwacji, to z czasem zaobserwowane przez niego właśnie tutaj zjawiska przyrodnicze, a zwłaszcza zebrana kolekcja ornitologiczna, zaczęły stanowić podbudowę teorii ewolucji.

PODWODNY ŚWIAT

Katamaran niemrawo sunie wzdłuż brzegu San Cristóbal, słońce powoli opada w dół, a na niebie wiruje głośnie stado mew. Za chwilę czas na pierwsze nurkowanie. Odkładam więc dalszą lekturę przewodnika i szykuję się do kąpiele. Szczęsioosobowy ponton zostaje spuszczonej na linach, a my, wyposażeni w maski i rurki, dajemy nura do wody bezpośrednio z pokładu. Pierwsze zderzenie z oceanem przypomina lodowaty prysznic. Co prawda ostrzegano

UWAŻNE I ROMANTYCZNE

Flamingi to sympatyczne stadne ptaki, do tego romantyczne, bo łączą się w pary na całe życie. Dzięki wzrostowi i długim szyjom dość szybko dostrzegają zagrożenie i potrafią umknąć niejednemu drapieżnikowi.

nas przed otwartymi wodami Pacyfiku, ale nie przypuszczałem, że będzie aż tak zimno. Jedyne ratunek to intensywna rozgrzewka i przepłynięcie kilkudziesięciu metrów wpływ. Po chwili, oswojeni z wodą, trzymając się pontonowych linek, wpływamy do jednej z wielu zatoczek rozrzuconych wzdłuż linii brzegowej wyspy.

Początkowo z pewną ostrożnością brodzę po pas w jej wodach, posłuszny dwóm zasadom: uważać na lwy morskie, bo podrażnione mogą ugryźć, i nie dotykać żółwi. Zanurzam głowę w wodzie i delikatnie opływam dwa średniej wielkości okazy. W pewnej odległości od nas buszują lwy morskie, nad wyraz gibkie

i sprawne. Gdy w pewnym momencie, zafascynowany podwodnym światem, nie zauważam nadciągającego zderzenia czołowego, lew umyka mi przed nosem, odpływając zwinnie w głąbiny. Po pewnym czasie okazuje się, że takich sytuacji jest więcej, a zwierzaki, trochę jak dzieci, zwyczajnie chcą się bawić.

Co innego żółwie. Te dostojnie nurkują w wodach zatoki, raz po raz wypływając na powierzchnię. W końcu nabieram takiej wprawy, że pływam z ich pięcioosobową rodziną, centymetry od największego osobnika. Żółwie nie przejmują się moim towarzystwem. Spokojne, majestatyczne, piękne. Po raz kolejny przekonuję się, że naturalny kontakt



z dzikimi zwierzętami to rodzaj mistycznego, przejmującego doznania.

PARADOS PO GALAPAGOS

Poranny spacer dostarcza niesamowitych widoków. Paradujemy długą i szeroką, piaszczystą plażą i podziwiamy dziesiątki lwów morskich wylegujących się na plaży. Są dwa gatunki: lew morski i kotik galapagoski, choć dla mnie wyglądają podobnie. Największą frajdą jest zrobienie takiego zdjęcia, które obejmie jak największą liczbą zwierzaków leżących w jednym rzędzie obok siebie. Próbujemy także układać się między nimi, oczywiście

z zachowaniem zdrowego rozsądku. Przewodnik opowiada, że są dość złośliwe i gryzą jak psy. Najgorzej mają legwany morskie, średniej wielkości jaszczurki, które płynąc do brzegu, nieraz mogą doświadczyć lwiego kłapięcia zębami lub wyrzucenia kilkadziesiąt metrów w głąb oceanu.

Kolejną atrakcją są głuptaki niebieskonogie – ptaki przypominające mewy, z brązowymi skrzydłami i błękitnymi lub stalowymi dziobami i płetwami. I właśnie ten rzadko spotykany w przyrodzie błękitny kolor zwraca szczególną uwagę. Głuptaki, spacerując po plaży, kiwają się z nogi na nogę i zadzierają wysoko głowy. Wygląda to zabawnie.



Inny gatunek ptaka, charakterystyczny dla tego miejsca, to albatros. Mamy szczęście podziwiać samicę z charakterystycznym długim, żółtym dziobem oraz jej szare, małe pisklą. Hitem dnia okazują się jednak albatrosy, które stają naprzeciwko siebie i wykonują taniec godowy. Wyciągają do góry długie białe szyje i kłaniają się nisko, zahaczając o siebie dziobami. Towarzyszy temu klekot. Ni to walka, ni to prezentacja uprzejmości, ni to flirt.

Idziemy wzdłuż poszarpanego, wapiennego klifu, który raz po raz odpiera wściekłe ataki spienionego oceanu. Fale są na tyle duże,

KIWACZEK-BUJACZEK

Ptak głuptak jest naprawdę rozkoszny – to się obróci, to zatrzepie skrzydełkami. Kołysz się i podryguje, taki kiwaczek-bujaczek.



FOT. ADAM STECZYK

URZĄD POCZTOWY

Tu można pozostawić list, a na pewno dotrze do adresata w świecie. Ten punkt pocztowy w skrzynkach po starej bibliotece kontynuuje tradycje poczty żeglarskiej na Galapagos sprzed trzystu lat.

że muszę chronić aparat. Okolice dzika i surowa, ścieżka nieregularna i kamienista, porośnięta niewysoką szarozieloną trawą i suchymi ostami. Po drodze trzeba uważać na pomarańczowe kraby wszelkiej wielkości zmierzające z lądu do wody. Na gorących skałach wylęgają się legwany morskie. Najczęściej spotykane okazy mają szaroczarną barwę w krwiste plamy, białe podbrzusze i ostre stalowobiały grzebień na głowie i plecach.

Po godzinnym marszu docieramy na niewielki cypel i otoczoną bujną zielenią zatokę Punta Cormorant. Nasze przybycie powoduje krzykliwe szczebiotanie nietolnych kormoranów galapagoskich, które z wyraźną pretensją szybko uciekają w głąb lądu. Przed nami wspaniały widok na kroczące z gracją bladuróżowe flamingi, z charakterystycznymi czarnymi dziobami i czarną obszywką piór na skrzydłach. Spoglądają ciekawie w naszą stronę z bezpiecznej odległości, raz po raz rozwijając skrzydła, jakby szykowały się do lotu.

POCZTA Z BECZKI I OCZY ŻÓŁWIA

Przełom XVIII i XIX w. to rozwój wielorybnictwa na Pacyfiku, walki o strategiczne wpływy pomiędzy mocarstwami oraz początki osadnictwa na Galapagos. Jednym z efektów rozwoju było założenie na wyspie Floreana punktu pocztowego w postaci... beczki. Marynarze żeglujący po wodach oceanu mogli tam zostawiać listy, które następnie były

ŻÓŁWIE PONAD WSZYSTKO

Taplają się w błocku lub wolno pełzną po trawie. Z zasady nigdzie się nie spieszą. Wszystkie żółwie, także te na zdjęciu, czyli słoniowe, to kwintesencja dystansu, mądrości i dostojnej starości.



FOT. ADAM STECZYK

PLAŻA LEGWANA

Kto by nie chciał tak się pogrzać na gorącej skale... Jedyny problem to dotrzeć do tego słonecznego raj, omijając lwy morskie, które potrafią ugryźć lub nawet rzucić jaszczurem hen, w morze.



FOT. ADAM STECYK

zabierane przez statki powracające do Europy czy Ameryki Północnej.

Choć oryginalna beczka już dawno rozpadła się w pył, to i dziś listy można zostawić w drewnianych skrzyniach znajdujących się w starym punkcie bibliotecznym niedaleko plaży. Ponieważ nikt tych przesyłek nie obsługuje, rolę kurierów mogą pełnić turyści. Jakie było moje zdziwienie, gdy w dwa tygodnie po naszym powrocie z Ameryki Południowej dotarł do Szczecina list, który wrzuciliśmy do pocztowej „beczki”. Okazało się, że kilka dni po nas Galapagos odwiedzili turyści z Polski, którzy przejrzeni skrzynie, zabrali nasz list do rodziców i wysłali go pocztą z Warszawy.

Żeby wycisnąć jak najwięcej z kilkudniowego pobytu na wyspach, wstajemy około szóstej rano i po śniadaniu ponownie wybieramy się pontonem na nurkowanie. Podczas popołudniowego spaceru próbuję nowych kompozycji z głuptakami i legwanami oraz „ustawiam” do zdjęć lwy morskie. Czas mija leniwie pomiędzy nurkowaniem, spacerami po wyspie i sjętą na pokładzie katamaranu.

Wieczorem odwiedzamy tajemnicze jaskinie ze źródłami wody pitnej, a pod koniec dnia, pełni wrażeń i dobrego humoru, dobijamy do brzegów wyspy Santa Cruz. Ostatnią atrakcją na Galapagos jest bowiem wyprawa do żółwi słoniowych i podziwianie ogromnych, zielonoszarych okazów, wolno sunących po łące lub taplających się w bajorkach. Żółwie są tak duże, że niektóre mają głowę większą niż głowa człowieka. Największe wrażenie robią jednak oczy – ich głębokie i mądre spojrzenie jest jak zwierciadło długowiecznej duszy żółwia, która przecież niejedno pamięta.

Myszę o żeglarzach szukających tu pożywienia oraz wody pitnej i zastanawiam się nad romantycznym życiem dawnych korsarzy i poszukiwaczy przygód. Minęły wieki, prawie wszystko już odkryte, ale przecież wielu z nas nadal marzy, aby odnajdywać nowe lądy i nieznanne światy. I choć wydaje się, że już wszystko wiemy i nic nas nie zaskoczy, to zawsze pozostaje niesamowita wyprawa na Galapagos, która temu zaprzeczy. ○



Adam Stecyk

Kierownik Katedry Innowacji i Technologii Informatycznych na Uniwersytecie Szczecińskim. Młośnik podróży, historii, piłki nożnej i strategicznych gier planszowych. Odbił ponad 30 podróży na całym świecie, odwiedził 6 kontynentów i ponad 90 państw.



KRAJOBRAZ PO LODOWCU

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Trudno wyobrazić sobie lodowce tak wielkie, że zmieniały wygląd Ziemi. Ich pozostałości możemy obserwować na pojezierzach polodowcowych czy wzgórzach morenowych. Daleko im mimo wszystko do spektakularności. Kiedy jednak zobaczymy łuk powstały w czasie zlodowacenia skandynawskiego, zrozumiemy działanie lodowców: 40 km długości, grubość od 3 do 5 km, odległość pomiędzy ramionami – około 25 km. Jest to prawdopodobnie jedyna morena czołowa doskonale widoczna z kosmosu. Takie cudo ukryło się na zachodzie Polski, w okolicach Mużakowa, i zachwyca jeziorami w przeróżnych barwach.

Jak powstała ta morena? Najprościej działanie lodowca można sobie wyobrazić, przesuając palcem po piasku. Pozostanie po nim lekkie wgłębienie, a przed nim zbierze się kształtne półkole. To właśnie zrobił lodowiec. Półkole ma w tym miejscu 40 km. Przesuwając się po ziemi, lód odsłonił m.in. pokłady węgla brunatnego i ilów ceramicznych. Kiedy ludzie odkryli, że wydobyć w tym miejscu nie wymaga

drążenia głębokich szybów, całą parą ruszyła eksploatacja. To na zawsze zmieniło wygląd tych terenów. W miejscach dawnych szybów i kopalni powstały mniejsze lub większe jeziora. Wypełnione wodą, o przeróżnych barwach, pochodzących od minerałów znajdujących się w ziemi. Tym sposobem można podziwiać krwistoczerwone czy błękitne oczka wodne. Jedne przypominają kałuże, a inne – przestronne zalewy. Gdziekolwiek z wody

wystają pnie drzew. W wielu miejscach ziemia zapadła się i utworzyła zupełnie nowe pejzaże. Czasem nad powierzchnią widać dawny szalunek do złudzenia przypominający las.

Najpierw odwiedziłem Łęknice z względu na Park Mużakowski. Jest to kolejna niezwykle atrakcyjna w tej okolicy. Prawie 750 ha powierzchni i około 30 km ścieżek. Wpisano go na listę UNESCO w celu ochrony jedyne transgranicznego

parku w stylu angielskim w Europie. Już opuszczając autostradę A18, zauważyłem, że wjeżdżam do leśnego raju. Niemal 80 proc. powierzchni Parku Krajo-
brazowego Łuk Mużakowa stanowią lasy. Sam zatrzymałem się w przeuroczej agroturystyce Dom Pod Sosnami w Gręzawie, oddalonej od Łęknicy o niespełna 20 km. Pomimo tylu niezwykłych atrakcji trudno po polskiej stronie granicy znaleźć jakiś przytulny nocleg. Taka agroturystka jak u pani Anety jest na wagę złota. Z Gręzawy miałem wszystko na wyciągnięcie ręki, a przecież do tej pory wspominałem tylko o atrakcjach po naszej stronie granicy. Również u niemieckich sąsiadów nie brakuje ciekawych miejsc. Koniecznie trzeba odwiedzić ogród rododendronów i azalii w Kromławu.

Wróćmy jednak na polską ziemię, a dokładnie przed bramę wejściową na ścieżkę geoturystyczną Dawna Kopalnia Babina. Wybrałem wejście przy parkingu nr 2 między Nowymi Czaplami a Przewoźnikami. Głównie ze względu na położenie tuż przy wieży widokowej, z której można podziwiać całą okolicę. Konstrukcja

wznosi się na 24 m i jest doskonałym punktem do spojrzenia z góry na zalane częściowo wodą hałdy. Tworzą one bajkowe pejzaże i gdyby nie świadomość, że w ich powstaniu pomógł człowiek, można by uznać je za cud natury.

Po obejrzeniu wszystkiego z lotu ptaka ruszyłem przed siebie szeroką leśną drogą. Najważniejsze atrakcje i osobliwości przyrody są wyraźnie zaznaczone i opisane na tablicach informacyjnych. Przejście ścieżki w całości zajęło mi około 2 godzin, a droga powrotna bez zatrzymywania pochłonęła około godziny. Już po pierwszych kilkuset metrach moim oczom ukazał się okazałych rozmiarów staw o sympatycznej nazwie Afryka. Pozostałe stanowiska i jeziora przypominają raczej bagna czy mokradła, a dojścia do wielu z nich są mocno zarośnięte. Na przykładzie stawu Afryka widać jak na dłoni niezwykłość tego miejsca. Po pierwsze brzeg, po którym można spacerować, jest niezwykle bogaty w przeróżne formy geologiczne. Po drugie można podziwiać przepiękną taflę wody zakończoną lasem po przeciwnej stronie. Tuż pod nim

piętrzy się ziemia ułożona w przedziwny kształt. Jest to zapewne efekt działania wody i wiatru, który spośród twardszych skał usunął luźny materiał. Wygląda to przepięknie i trudno to opisać. Jeszcze w życiu nie widziałem czegoś takiego.

Ziemia lubuska i ten uroczy skrawek zachodniej Polski zdecydowanie zasługują na poznanie. Zaskakuje, że te atrakcje są tłumnie odwiedzane przez Niemców, a kiedy opowiadam o tych niezwykłościach w Polsce, wiele osób nie potrafi umiejscowić ich na mapie. Warto to zmienić, bo odkrywanie takich miejsc to gwarancja dobrze spędzonego czasu. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

BOSKIE BALKONY

Radostaw Kozuszek





Mogą mieć postać balkonów, altan, ganków czy nawet namiotów. Żydowskie kuczki jeszcze w czasach powojennych nadawały koloryt polskim miastom i miasteczkom. Dziś można je spotkać niezmiernie rzadko, ale najczęściej w Łodzi. W Izraelu i w diasporze są miejscem kultywowania odwiecznego Święta Szałasów – Sukkot.

Kuczka” to spolszczenie hebrajskiego słowa *sukka*, które oznacza szałas. Kuczki wznosi się podczas święta Sukkot, które trwa od 15 do 21 dnia żydowskiego miesiąca tiszri (wrzesień – październik) i jest obchodzone na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni oraz wyprowadzenia ich z niewoli egipskiej. Zamieszkanie w szałasach ma przypominać tamto wydarzenie, w tym koczownicze życie dawnych Izraelitów. Ma też uzmysławiać, że jedynie Bóg zapewnia ostateczną ochronę, a nie żadne, najsolidniejsze nawet murowane budowle.

Informacje zawarte w Torze nakazują obchodzić Kuczki radośnie,

PIĘTROWO DO NIEBA

Kuczki w łódzkiej oficynie przy Piotrkowskiej 40 to unikatowe rozwiązanie, bo piętrowe. Do tego charakteryzujące się pięknymi zdobieniami snycerskimi.





Foto: KAWRAM - SHUTTERSTOCK

przez siedem dni (w diasporze – osiem) i świętować ku czci Boga, który błogosławi we wszystkich zbiorach oraz w każdej pracy. Tym samym stanowi ono podziękowanie za opiekę w czasie wędrówki oraz za dary natury.

JAK URZĄDZIĆ KUCZKĘ

Kuczka jest symbolicznym szałasem, budowanym zazwyczaj na podwórzu, balkonie, dachu, w ogrodzie czy na strychu. Dość często przybiera formę zbliżoną do zabudowanego balkonu, loggii, werandy lub ganka. Może być wznoszona tymczasowo na samo święto lub też na stałe dobudowana do ściany zewnętrznej budynku mieszkalnego. Według Talmudu budowla taka, wzorowana na szałasach, powinna być wykonana z materiałów nietrwałych, np. drewna. Może także mieć ściany w postaci rozciąganych na rusztowaniach malowanych tkanin.

Zaleca się, aby konstrukcja miała przynajmniej trzy zabudowane ściany, a pokrycie dachu, zwane *schach*, było wykonane z materiałów

pochodzenia roślinnego: słoma, trzcina, sitywie, wierzba, jedlina. Powinny być one rzadko ułożone, aby nocą umożliwiały obserwację gwiazdzistego nieba.

Kuczki wznoszone tylko na okres świąt nie mają dachu, a jedynie rusztowanie, siatkę lub kratownicę, na której układa się ów materiał roślinny. Budynki całoroczne, które wykorzystuje się jako kuczki tylko przez siedem dni w roku, muszą mieć zatem możliwość demontażu dachu. W przedwojennej Polsce niektórzy bogaci Żydzi mieli kuczki z mechanizmem rozsuwania dachu... Czasem właściciele kamienic bądź willi urządzali kuczki w mansardzie, w której oczywiście montowano klapy otwierane na czas świętowania.

Wystrój kuczek był uzależniony od gustu i zamożności właściciela. W Muzeum Diaspory w Tel Awiwie są prezentowane m.in. kuczki malowane. Malowidła przedstawiają np. widoki wymarzonej Jerozolimy, sceny biblijne, a także pejzaże z Polski, Węgier czy Ukrainy, czyli miejsc, gdzie mieszkali Żydzi. W dawnej Polsce te szałasy dekorowało się



FOT. RADESKAWY / OLSZEK

dywanami, kolorowymi ptakami zrobionymi z papieru, żyrandolami wykonanymi z dyni, wieńcami z owoców głogu, kaliny, jarzębiny i liści, rysunkami oraz łańcuchami z papieru. Te dekoracje były najczęściej dziełami dzieci.

W kuczce przez siedem dni należy spożywać chociaż jeden posiłek dziennie. Szałas według wierzeń odwiedza każdego dnia inni goście biblijni, dla których przygotowuje się posiłek. Tradycja nakazuje, aby porcję jedzenia przeznaczoną dla rzeczonych gości zjadła uboga osoba, która powinna być zaproszona przez właściciela kuczki. W przedwojennej Polsce zaproszoną ubogą osobę obdarowywano także orzechami, a bogaci Żydzi dawali jej jeszcze pomarańcze, wówczas raczej drogie. Podczas święta jadano głównie potrawy faszerowane, np. pierogi z mięsem. Do popularnych potraw należały także: kapusta z rodzynkami, tłuste rosoly, mięsa, ryby, orzechy, pomarańcze, miód, kompoty z suszonych owoców. Unikano potraw kwaśnych i gorzkich, które mogły symbolizować smutek lub biedę; potrawy słodkie oznaczały dostatek.

Przepisy nakazywały mężczyznom oraz chłopcom, którzy ukończyli trzynasty rok życia, spędzanie w kuczce jak najwięcej czasu – na modlitwach, spożywaniu posiłków, z nocowaniem włącznie.

Kobiety podczas święta przebywały w domu, przygotowując potrawy. Przysłuchiwały się modlitwom, pieśniom (do tradycji należało śpiewanie pieśni szabasowych zwanych *zmirot*) oraz opowieściom wychodzącym z kuczki, co jakiś czas zaglądały też do jej wnętrza.

KOMPROMISOWO I PRAKTYCZNIE

Najpopularniejszym rodzajem kuczek w Izraelu są dziś te budowane wyłącznie na Sukkot. Stawia się je zazwyczaj na podwórkach, chodnikach, placach za domem, ogrodach, w przejściach między domami, na trawnikach czy w pobliżu świątyń. Kuczki znajdujące się na terenie wspólnym lub należącym do gminy są budowane na krótko przed świętem, aby nie

BALKONY DO WSZYSTKIEGO

Każde mieszkanie wyznawcy judaizmu powinno mieć możliwość urządzenia kuczki.

W Izraelu namioty podczas Sukkot (zdjęcie z lewej) często umiejscawia się na balkonach, które mają specjalne, całoroczne rusztowania.



FOT. RUDOSŁAW KOZŁEŻEK

PRZYPALACOWY SZALAS

Ta owalna altana, pełniąca kiedyś rolę świątecznego szałas, znajduje się w narożniku podwórka przy pałacu Wilhelma Lürkensa w Łodzi.

blokować tras komunikacyjnych czy terenów, które służą jako parkingi, chodniki lub place rozładunkowe. W większych miejscowościach ustawia się spore namioty bez dachu, w których każda rodzina ma swój stół. W taki sposób zaoszczędza się miejsce, a sąsiedzi się integrują. W Izraelu działają też specjalne firmy oferujące lekkie i niedrogie ściany do kuczek sezonowych.

Konstrukcjami sezonowymi, a zarazem całorocznymi, mogą być kuczki balkonowe. Współczesne balkonowe na terenie Izraela mają różne kształty i materiały – są z drewna, płyt, paneli z tworzyw sztucznych, blachy.

Poza świętem balkony pełnią oczywiście swoje zwykłe funkcje.

W przedwojennych polskich miastach zamieszkiwanych przez ludność wyznania mojżeszowego kuczki balkonowe były bardzo popularne. To właśnie one są najbardziej charakterystyczne. Z uwagi na polski klimat budowano je jako konstrukcje całoroczne, a poza Sukkot wykorzystywano jako altany, suszarnie czy oranżerie. Zdarzało się, że drewno, którym obudowany był balkon, po pewnym czasie zamieniano na cegły, a konstrukcję tynkowano tak samo jak budynek główny. Wówczas powstawała przybudówka, która wyglądała jak wykusz.

Zdarzało się, że przybudówki mieszczące kuczkę stawiano na jednym, dwóch lub kilku filarach. Fakt ten dotyczył w głównej mierze kuczek mieszczących się na tylnych ścianach mieszkań usytuowanych na pierwszym piętrze. Oczywiście na tego rodzaju inwestycje mogli pozwolić sobie tylko najbogatsi mieszkańcy, do których zazwyczaj należał cały budynek. Kuczka taka od wewnętrznej strony tworzyła swego rodzaju wnękę otwierającą się na salon lub jadalnię. Niejednokrotnie jej wewnętrzne ściany były zdobione malowidłami o tematyce związanej z uprawą roli, wędrówką dawnych Izraelitów, Jerozolimą lub historycznymi terenami zamieszkiwanymi przez wyznawców judaizmu. Aby nadać takiemu obiektowi kształt „nietrwałości”, montowano w nim wielkie okna.

Najprostszym rozwiązaniem w konstrukcji kuczek wśród Żydów mieszkających w mieście było urządzenie ich na płaskim dachu lub strychu. Posiadający strych mogli na święto otworzyć okno dachowe, albo też część połaci dachowej przystosować tak, aby można było ją rozsuwać.

Czasami kuczki urządzało się w miejscu bocznego lub tylnego wejścia do domu, tworząc tym samym popularny w Polsce ganek. Przez okrągły rok można było wykorzystywać to miejsce jako wiatrołap, składzik, garderobę czy chłodną oranżerię. Na jesieni usuwano z niej wszystkie zbędne przedmioty, rozsuwano lub demontowano dach, stawiano stół i krzesła oraz przystrajano wnętrze. W ten prosty sposób ganek zamieniał się w biblijny szałas.

ŻYDOWSKIE MIASTO ŁÓDŹ

Współcześnie kuczki, a najczęściej już tylko ich pozostałości, można u nas jeszcze spotkać – w Lublinie, Krakowie, Kaliszu. Miastem, gdzie po dziś dzień znajduje się ich najwięcej, jest jednak Łódź. Na początku XIX w. liczba osób wyznania mojżeszowego w tym mieście nie przekraczała setki. Tuż przed wybuchem I wojny światowej Żydzi stanowili już 30 proc. mieszkańców. W przededniu II wojny ogólna liczba Łódzian wynosiła 660 tys., z czego 200 tys. stanowili Żydzi. Na przełomie XIX i XX w. powstawały zatem drewniane lub murowane szałas, które w wielu przypadkach przypominały werandy lub ganki dobudowywane do tylnej części kamienicy.

Najbardziej znana łódzka kuczka jest widoczna w budynku przy ul. Piotrkowskiej 88. Ta eklektyczna kamienica ma cztery kondygnacje, budynek jest połączony z dwoma oficynami, a kuczka została usytuowana nad bramą wjazdową, przy tylnej ścianie kamienicy od strony podwórka. Wejście do niej prowadzi z poziomu drugiej kondygnacji. Konstrukcja, głównie z drewna i stali, ma podstawę

prostokąta wspartego na dwóch metalowych kolumnach. Ma pełny dwuspadowy dach wykonany z blachy; dawniej istniała możliwość otwarcia go na boki. Kuczka na ul. Piotrkowskiej 88 ma także metalowe zdobienie w postaci gwiazdy Dawida, umieszczone w jej dolnej części pod oknami.

Bardzo ciekawe są dwie bliźniacze altany znajdujące się na terenie XIX-wiecznej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 40. Usytuowano je na wysokości pierwszego i drugiego piętra jednej z oficyn. Mają postać drewnianych, pomalowanych na żółto symetrycznych galerii, zakończonych przeszklonymi altanami, które najprawdopodobniej spełniały funkcję kuczek. Cała konstrukcja jest oparta na żeliwnych wspornikach, a przeszklona część została wykończona licznymi dekoracjami drewnianymi, ma też duże okna.

Podobną można zobaczyć przy oficynie kamienicy na ul. Piotrkowskiej 6. Znajduje się ona na poziomie drugiego i trzeciego piętra w niewielkiej wnęce i składa z dwóch przeszklonych altan usytuowanych jedna pod drugą. Altany są połączone z długimi,

CO BYŁO ZA TYM MUREM?

Prawdopodobnie ta murowana przybudówka była drewniana i służyła podczas święta Sukkot. Po wojnie została przerobiona. Jest widoczna z podwórza kamienicy mieszczącej się przy ul. POW 36/38.

FOT. RADOŚLAW KOCUSEK



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

Z GWIAZDĄ DAWIDA

Najbardziej znana łódzka kuczka mieści się w podwórku przy ul. Piotrkowskiej 88 i jest opatrzona gwiazdą Dawida, symbolem jedności Ziemi i Nieba. Miała też mechanicznie rozsuwany dach.

MIJSCIE NA TORĘ

Wierzący Żydzi przy wejściu do domu zawieszali mezuze (dosł. futrynę drzwiową) – tubę, w której umieszczano tekst z Tory. W wielu łódzkich kamienicach można jeszcze odnaleźć charakterystyczne podłużne dziury po nich. Na zdjęciu mezuza sfotografowana w Izraelu.

drewnianymi, bogato zdobionymi galeriami, które w rzucie przypominają literę L.

Inną piętrową kuczkę można zobaczyć na tyle zdobnej XIX-wiecznej narożnej kamienicy przy ul. 6 Sierpnia 5. Ma wystający gzyms koronacyjny, niewielkie arkady i pilastry, spadzisty dach; jest wsparta na rzeźbionych, drewnianych wspornikach. Dobrze widać ją z ulicy i nie trzeba wchodzić na teren posesji. Ponadto przy tej samej ulicy znajduje się restauracja Anatewka, której menu jest inspirowane przedwojenną kuchnią żydowską. Warto wejść, obejrzeć stylizowany wystrój, napić się dobrej kawy i zjeść żydowską twarogową paschę, makowo-twarogowy tort *tejchak* lub słodki *charošet*, w którego skład wchodzi: owoce, rodzynki, orzechy, zioła i słodkie wino.

Na ul. Kościuszki pod numerem 33/35 znajdziemy neobarokową kamienicę z początku XX w., nazywaną pałacem Wilhelma Lürkensa. Na styku oficyny z budynkiem głównym, na poziomie pierwszego piętra, umiejscowiono drewnianą konstrukcję przypominającą altankę. Ściana frontowa tej kuczki ma kształt



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK



owalu, jest tu sześć trójdzielných okien, a całość wspiera się na metalowych wspornikach. W związku z tym, że od jednej strony do budynku głównego nic nie przylega, obiekt jest widoczny z sąsiedniej posesji i też nie trzeba wchodzić na podwórko.

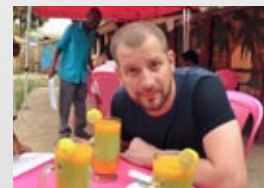
Trochę dalej od ścisłego centrum Łodzi, z boku budynku przy ul. Wigury 16, znajduje się kuczka, której murowane ściany z drewnianymi belkami wpisują się w technikę muru pruskiego... Całość jest wsparta na pięciu stalowych wspornikach. Jest bardzo dobrze widoczna z samej ulicy.

W okolicach nowego dworca Łódź Fabryczna, w oficynie kamienicy przy ul. Targowej 10, na poziomie pierwszego piętra na tylnej ścianie budynku można zobaczyć drewnianą altanę wspartą na jednej kolumnie. Z kolei przy ul. Narutowicza 35 znajduje się ogromna, narożna, trzypiętrowa kamienica, w której oficynie również znajduje się dawna kuczka. Ta, w odróżnieniu od większości, jest murowana – widoczna z podwórza sąsiedniej kamienicy, mieszczącej się przy ul. POW 36/38.

Kontynuując te niezwykle odkrycia – przy ul. Kilińskiego 112, na podwórzu, można zobaczyć tym razem konstrukcję naziemną, która być może również spełniała funkcję kuczki. Obiekt ma kształt niewielkiej altany z dużym przeszkleniem na przedniej ścianie i nawiązuje charakterem do lekkich budynków w stylu rosyjskim. Na terenie przedwojennej Polski istniały bowiem także kuczki wolno stojące, ale nie tymczasowe, których nie demontowano. Zazwyczaj były zbudowane z dobrej jakości drewna, rzadziej murowane. W ciągu roku służyły jako składy, altanki lub drewnitnie. Na święto Sukkot opróżniano je, czyszczono oraz przystrajano.

Do dziś na dawnych żydowskich podwórkach w polskich miastach i miasteczkach stoją niewielkie składziki, gołębniki czy domki na narzędzia, które być może jeszcze przed ostatnią wojną tak właśnie wykorzystywano. Są skromnym, lecz poruszającym śladem bogatej tradycji i kultury, która istniała obok nas przez dziesięć wieków, zniszczona w ciągu kilku lat przez szaleństwo Holokaustu. ○

PRUSKA NIESPODZIANKA
Konstrukcja kuczki przy budynku na ul. Wigury to zaskoczenie – wpisuje się w technikę muru szachulcowego, zwanego też pruskim.



Radosław Kozuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.

Cud świata

Aleksander Muszyński

Jordania – państwo leżące na Bliskim Wschodzie, które skrywa jeden z nowych siedmiu cudów świata: Petrę. To kraina kolorowych piasków, skał i kanionów, dawnych tajemnic, starych budowli i przede wszystkim ludzi tak przyjaznych, jak chyba nigdzie.



Tereny Wadi Rum zamieszkują różne plemiona Beduinów. Żeby poczuć niesamowity klimat tego miejsca, warto spędzić noc na pustyni tak, jak oni czynią to od wieków.



Skalne miasto Petra. Nabatejczycy zaczęli wykuwanie tych niesamowitych budowli od... dachów.

Petra leży wśród długich kanionów i aby łatwiej przemierzyć trasę zwiedzania, warto skorzystać z pomocy przewoźników.



Oprowadzają
turyстів i sprzedają
drobne pamiątki,
ale nie chcą opuścić
swojego kamiennego
miasta. Do dziś
niektórzy z Beduinów
zamieszkują
tutejsze jaskinie.





Wadi Rum, nazywana największą pustynią Jordanii, w rzeczywistości jest doliną leżącą wśród skał z piaskowca i granitu.



Wśród czerwonych piasków jest jedno miejsce, gdzie występuje woda – to źródło Lawrence’a.
Można je znaleźć, wypatrując dwóch samotnie rosnących drzew.



Słowo „Beduin” oznacza mieszkańca pustyni. Nosi tradycyjne stroje, których kolory różnią się w zależności od pory roku: latem dominują jasne odcienie, zimą – ciemne.



Lokalny przewodnik zaprowadzi nas do szczelin ukrytych w skałach Wadi Rum. Można tam obejrzeć stare inskrypcje – archeologiczne perełki, pozostawione przez dawnych Nabatejczyków.



Piękne wzory i cała paleta kolorów, zmieniających się w ciągu dnia, przyciągają podróżników, fotografów oraz filmowców. To właśnie tu nagrano m.in. wiele marsjańskich ujęć.



Aleksander Muszyński

Biolog z wykształcenia. Na co dzień pracownik branży farmaceutycznej. Z zamiłowania fotograf. Czas wolny spędza w podróżach, poznając nowe miejsca i kultury oraz doskonaląc umiejętności fotograficzne.

Na zwiedzanie Petry warto przeznaczyć więcej niż dzień. Niesamowite wrażenie robi specjalnie organizowany spacer nocny – wśród lampionów i beduińskich śpiewów.



W POGONI ZA PIĘKNIEM

Istnieją takie miejsca, które są znane wyłącznie z czegoś dziwnego. Miejsca, o których wcześniej słyszeli tylko nieliczni, ale pewnego dnia poznał je cały świat. Tylko dlatego, że pojawiło się w nich to coś. Nietypowe, pokracczne, niezwykle. Istne kuriozum z gabinetu osobliwości, ot co. Pamiętacie filmową „Matkę Whistlera” po przeróbkach w wykonaniu Jasia Fasoli? No właśnie. Witajcie na (nieco wybiórczym) szlaku najbardziej katastrofalnych renowacji dzieł sztuki oraz destrukcji zabytków, o których było głośno w ciągu ostatnich lat.

Kiedyś zachwycały urodą, dzisiaj już niekoniecznie. Nienaturalne, o groteskowo zniekształconych rysach, dawne piękności często nie przypominają siebie sprzed lat. Szokujące metamorfozy to jednak nie tylko domena niektórych gwiazd. Ofiarami nieudanych zabiegów plastycznych padają także zabytki. Zwłaszcza jeśli do roboty zabierają się amatorzy. W ten sposób wiele dzieł sztuki zamiast odzyskać dawny blask, straciło swoje walory. Nierzadko już bezpowrotnie. Prymitywne, kiczowate, brzydkie. Odpustowe, krzykliwe, tandetne. Straszne, śmieszne, szkaradne. Dziś stanowią nie tylko fenomen socjologiczny, ale i turystyczny.

Na początek Jezus z kościelnego fresku, któremu amputowano twarz. Naprawdę nie wiem, jak inaczej opisać ten piorunujący efekt. Po prostu farby spłynęły i utworzyły kształt, który jednym kojarzy się z małpą, natomiast innym – z rozmazanym jeżem. Zanim jednak poznacie szczegóły, szybki quiz. Kto od razu i bez patrzenia na mapę odpowie, gdzie leży Borja? Tak, to dzisiaj proste pytanie. Pewnie jednak niewiele osób odwiedziłoby to leżące koło Saragossy hiszpańskie miasteczko, gdyby nie wspomniana pseudorenowacja. Kilka lat temu, kiedy lokalna artystka amatorka postanowiła przywrócić mu świetność, malowidło zastąpiła karykaturą. Nie

chciała, ale tak wyszło. Odtąd fresk, którego prawdziwy tytuł brzmi „Ecce Homo” („Oto Człowiek”), prześmiewczo bywa nazywany „Ecce Mono” („Oto Małpa”) albo „Jezus z Borji”.

Przywrócenie dziełu oryginalnego wyglądu jest jeszcze możliwe, ale co z tego. Nikt w Borji nawet nie chce o tym słyszeć i w sumie trudno się dziwić. W swojej obecnej formie fresk dał miasteczku nowe życie i przyciągnął rzeszę turystów. To teraz atrakcja, która pozwala mieszkańcom zarabiać. Pseudorenowacja zaczęła wręcz żyć własnym życiem. Jej reprodukcje pojawiły się na różnego rodzaju gadżetach. Malowidło całkowicie podbiło internet, gdzie funkcjonuje

jako pastisze i fotomontaże znanych dzieł sztuki. Można tam znaleźć nawet słynną Giocondę z twarzą „Jeżusa”. W ten sposób mało znany wcześniej fresk dziś jest rozpoznawalny w niemal każdym zakątku świata. Podobnie jak Borja, do której ściągają tłumy.

Teraz przenieśmy się z Aragonii do innego hiszpańskiego regionu – Nawarry. Naszym celem jest miasteczko Estella. Tu również znajduje się okryte złą sławą dzieło. Jego kiepska reputacja bierze się wyłącznie stąd, że ono też przeszło fatalną w skutkach renowację. Tym razem został oszpecony XVI w. kościelny posąg św. Jerzego na rumaku. W rolę konserwatora dzieła sztuki wcieliła się nauczycielka plastyki z miejscowej szkoły. I dosłownie... przypawiła rzeźbie głębę – inaczej nie da się tego ująć. Święty „zyskał” mocno przerysowany wygląd. Przy czym straszliwie czerwone policzki oraz niebieski koń to tylko czubek góry lodowej. Ostatecznie wiekowy posąg udało się uratować, choć nie do końca, gdyż część oryginalnej farby przepadła.

Do trzech razy sztuka – wciąż jesteśmy w Hiszpanii. Przed nami mało znany, ale niezwykle piękny region Asturia. W miasteczku El Ranadoiro jedna z parafianek „odnowiła” XV-wieczną grupę rzeźbiarską. Dzieło w oryginale było naturalnie drewniane, ale w zeszłym roku nabrało zdecydowanych barw. Teraz silnie różowo-niebieska Dziewica Maryja trzyma na ręku soczycie zielone Dzieciątko Jezus, a towarzyszy im buraczkowo-seledynowa św. Anna. Miejscowa parafianka zaszalała i, posługując się najwykleszszymi farbami do drewna, średniowieczne figury ożywiła za pomocą wściekłych barw.

To jeszcze nie wszystko. Rzeźba stanowi tylko (centralną) część tryptyku. Artystycznie nawiedzona wierna poszła więc na całość. I pod wpływem natchnienia machnęła na kolorowo także sąsiednie figury. Czy to jednak był zdecydowanie inny okres w jej twórczości, czy też w supermarkecie zabrakło już intensywnych farb, nie wiadomo. Faktem jednak jest, że ich kolorystyka jest zdecydowanie mniej wstrząsająca. Jedną z postaci (rzeźba Królowej Maryi) została pomalowana delikatnie w pastelowe błękity i różę. Natomiast św. Piotr jest prawie normalny. Co nie zmienia faktu, że – podobnie jak całość – powinien pozostać naturalnie drewniany. Ta historia nie ma happy endu.

Tryptyk został zniszczony trwale. Nowa farba zbyt głęboko wniknęła w drewno i jest już nie do zdarcia.

Nie tylko hiszpańska sztuka sakralna nie ma szczęścia do restauratorów. W turkckiej Antiochii (zwanej również Antakya lub Hatay od nazwy prowincji, której jest stolicą) także wybuchł podobny skandal. Wszystko przez to, że znajdujące się w lokalnym muzeum archeologicznym bezcenne mozaiki z czasów rzymskich po „renowacji” były wręcz nie do poznania. Kamienie miały inne kształty i kolory. W efekcie sylwetki na mozaikach drastycznie zmieniły wygląd. I to do tego stopnia, że w odniesieniu do każdej (właściwie: każdego) z nich śmiało się można posłużyć kultowym cytatem „z twarzy podobny zupełnie do nikogo”. Kompletna amatorszczyzna podczas renowacji najświetniejszej, po zbiorach muzeum w Rawennie, kolekcji tego typu mozaik na świecie? Tak, to się wydarzyło naprawdę.

Zresztą nie tylko w Turcji czy Hiszpanii. Niestety, porażającym dyletantyzmem i bijących kolorami po oczach „renowacji” na całym świecie przeprowadzono multum. Część miała nawet dramatyczne i zgoła niekonserwatorskie tło. Przyznamy sobie „kolorową rewolucję” w Skopje. Kilka lat temu stolica Macedonii Północnej (wtedy jeszcze: Macedonii) wypełniła się fałszywymi antykami. Co więcej, dawne budynki użyteczności publicznej, architektonicznie reprezentujące surowy nurt brutalizmu, zyskały „starożytne” kolumny, portyki, płaskorzeźby. No i powstał taki jakby Disneyland. Zubożałemu społeczeństwu macedońskiemu to się jednak nie spodobało. I to nie tyle z powodu rażącej sztuczności tego całego teatrum, ile ze względu na trwonienie przez władze – jakże potrzebnych temu krajowi – pieniędzy. Macedończycy wyszli więc na ulice i balonami z kolorową farbą obrzucili te wszystkie pseudoantyki.

Skoro już dotarliśmy do stylizowanych podróbek, na koniec wrzucę kamyczek i do naszego ogródka. Właściwie kamień, bo rzecz dotyczy zabytków grubszego kalibru – architektonicznych. Niestety, w naszym kraju często bywają one „odnawiane” za pomocą koparek. Jak to?! Już objaśniam. Budynki patroszy się metodą „na wyduszkę”. Wbrew protestom licznych specjalistów (przypominam, że polska szkoła konserwatorska cieszy się renomą na całym świecie) wnętrza budowli



są wyburzane, zostają tylko zewnętrzne ściany. Czasami zachowują się jeszcze jakieś elementy, ale na ogół większość zabytkowej substancji przepada. W tej sytuacji oryginał praktycznie znika. W jego miejsce powstaje właściwie już tylko makieta. Kopia, która naśladuje autentyk, ale w rzeczywistości jest czymś zupełnie innym. I to w sytuacji, kiedy zabytek nie uległ totalnej zagładzie i było co ratować.

Podziwiamy zatem zabytki, dopóki jeszcze są wokół nas. Oglądajmy, zanim czas je obróci w perzynę. Zanim przez ludzkie niedbalstwo, zapomnienie, wandalizm czy inną celową destrukcję popadną w całkowitą ruinę. Zanim bezpowrotnie je zniszczą domorośli pacykarze, poprawiacze i psuje. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.

Rowerowe szaleństwo

Sezon rowerowy w Polsce trwa z roku na rok coraz dłużej. Nie tylko dlatego, że mamy piękną pogodę jesienią. To kwestia ciągłego wzrostu popularności tej aktywności, a także rosnąca dostępność i różnorodność produktów, które poprawiają komfort jazdy w każdych warunkach, w każdym terenie.

EKSTREMALNIE WYTRZYMAŁY CAT® S41

To pancerny smartfon, idealny do działania w ekstremalnych warunkach. Dzięki odporności na wstrząsy, pył i wodę (słoną i słodką) oraz upadek na beton z wysokości 1,8 m jest chętnie użytkowany wśród podróżników i osób uprawiających sporty terenowe. Urządzenie ma mocną baterię o pojemności 5000 mAh z funkcją udostępniania energii, jego ekran zaś można obsługiwać mokrą dłonią lub w rękawicach.



Cena: ok. 1600 zł
www.catphones.com

WSPARCIE DLA NAJMŁODSZYCH TOWWHEEL

To prosta i lekka linka holownicza w stylu bungee, zaprojektowana tak, aby podczas holowania nie wplątywała się w koła roweru. Pozwala młodym zawodnikom na jazdę bez stresu związanego z koniecznością nadążania za starszymi lub w czasie wspinania się długimi podjazdami. Uczucie szarpania podczas jazdy zostało zupełnie wyeliminowane dzięki temu, że lina rozciąga się i zwija. Jest prosta w użyciu, a także lekka i łatwa w transporcie. Waży 140 g, jej długość w stanie spoczynku to 1,4 m, natomiast maksymalna długość rozciągnięcia – 4,57 m. Może być używana do holowania każdej osoby, w każdym wieku, wielkości i wadze do 227 kg.



Cena: ok. 170 zł
www.ecwid.com/store/motherbiker

WYGODA I BEZPIECZEŃSTWO IXS NAKOLANNIKI TRIGGER

Najwyższy poziom ochrony w połączeniu z wysokim komfortem. Baza najnowocześniejszych technologii i funkcjonalności miękkich nakolanników. Maksymalizacja bezpieczeństwa i komfortu dzięki dwóm asymetrycznym wkładom pochłaniającym siłę uderzenia Xmatter™. Zaprojektowane z myślą o bardziej agresywnej jeździe, kiedy zawodnik potrzebuje większej powierzchni ochrony.



Cena: ok. 560 zł
www.gregorio.pl

KOMFORT I OCHRONA IXS TRIGGER AM

Kask wyróżnia się innowacyjnymi właściwościami. Został zaprojektowany tak, aby wyznaczać standardy nowoczesnego „otwartego” kasku, z dobrze zabudowanym tyłem oraz 3-stopniowo regulowanym daszkiem stabilizującym położenie gogli. Technologia Vortex™ zapewnia ciągły przepływ powietrza i świetną wentylację.



Cena: ok. 560 zł
www.gregorio.pl

NA KAŻDE WARUNKI JULBO STREAM

Zostały zaprojektowane z myślą o kolarstwie górskim. Fotochromatyczna soczewka Reactiv 1–3 umożliwia użytkowanie praktycznie o każdej porze dnia, ponieważ reaguje samoczynnie na zmiany w natężeniu światła. Stream zapewnia maksymalną ochronę oczu przed wpadającym światłem i bardzo dobrą wentylację dzięki systemowi Air Flow. Okulary mają także elastyczne zauszuki stworzone w technologii 360°, które pozwalają na ich komfortowe użytkowanie z kaskiem rowerowym, oraz elastyczny nosek absorbujący drgania.



Cena: ok. 570 zł
himalsport.com.pl

JAZDA BEZ OGRANICZEŃ TREZADO VANILLA SUPREME 500 ML

Płyn uszczelniający do opon rowerowych, mający miły waniliowy zapach. Pozwala cieszyć się jazdą bez dętki na rowerach sportowych i turystycznych. Podnosi komfort jazdy i minimalizuje ryzyko uszkodzenia opony. Nie zawiera amoniaku. Polski produkt.

Cena: ok. 65 zł
www.trezado.pl



WYGODA I BEZPIECZEŃSTWO TSG SLEEVE JOINT

Softshellowy oddychający materiał, a na nim solidny ochraniacz z miękkiego tworzywa. Doskonale dopasowują się do ciała, nie ograniczają ruchów. Dobra ochrona i wygoda. Rozmiary od XXS/XS do XXL.

Cena: ok. 330 zł
www.hsecompany.pl



Cena: ok. 1800 zł
weehoo.pl

RAZEM PRZEZ ŚWIAT WEEHOO IGO TURBO

To świetna propozycja dla rodziców, którzy chcą jeździć na rowerze całą rodziną. Niezależny łańcuch i pedały dla dziecka pozwalają mu aktywnie uczestniczyć w wycieczce, a ponadto uczą kręcić korbą. Regulacja siedziska pozwala na przewóz dzieci w wieku 2-9 lat lub o wzroście od 96 do 132 cm i wadze do 36 kg. Trzypunktowe pasy oraz zapięcia na pedałach zapewniają bezpieczeństwo. Stabilna i solidnie wykonana. Pasuje do większości rowerów z okrągłą rurą podsiodłkową i wielkością koła 26", 27", 29", 650C lub 700C.



NOWOŚĆ MAXXIS ASSEGAI

Ten model bieżnika zadebiutował w 2018 r. Na początku opona była dostępna jedynie w specyfikacji DH, jednak od 2020 r. pojawi się również w szerokiej gamie opon MTB/enduro. Wysokie klocki bieżnika wgrzyzają się mocno w podłoże, szukając stabilnego podparcia. Lamelle na klockach pozwalają bezpiecznie pokonywać wilgotne korzenie i kamienie. Greg Minnaar, legenda rowerowego downhillu i twórca tej opony, nadał jej nazwę Assegai, jak jest nazywana południowoafrykańska dzida bojowa, zawsze gotowa do walki. Sprawdź się w terenie twardym i wilgotnym. Na błoto firma Maxxis ma już inne modele.

Cena: ok. 170-260 zł
(w zależności od modelu)
www.maxxis.com



NOWA ERA ELEKTRYKÓW WHYTE E-150S

Brytyjska marka Whyte wprowadza na rynek pierwsze modele e-bike enduro. To kompletnie nowa konstrukcja, w której środek ciężkości jest znacznie niższy niż u konkurentów. Dzięki temu rower lepiej się prowadzi, jest bardziej dynamiczny i zwrotny. Wyposażono go w najnowszy silnik Bosch Performance Line CX 2020 (Gen 4) oraz baterię Bosch 625 Wh. Do tego amortyzacja Rock Shock oraz napęd Sram. Dostępne będą trzy modele: e-150S, e-150RS i e-180RS.

Cena: ok. 25000 zł
www.whyte.pl



UNIWERSALNY
SNOOP 3 W 1

Nowoczesny i designerski produkt 3 w 1 – hulajnoga, jeździec, pojazd z rączką dla rodzica. To doskonałe rozwiązanie dla minimalistów. Produkt rośnie razem z dzieckiem, dopasowując się do jego wieku oraz potrzeb dzięki regulacji wysokości kierownicy i możliwości zmiany jego przeznaczenia. Dołączony kuferek na zabawki idealnie sprawdzi się podczas zabawy zarówno w domu, jak i na zewnątrz.



3W1

Cena: ok. 170 zł
www.megasmyk.pl

Cena: ok. 1000 zł
thule.com



NA CO DZIEŃ
THULE CROSSOVER 2 BACKPACK 30 L

Nowoczesny, solidny i stylowy plecak. Zaprojektowano go tak, by jego zawartość była zawsze idealnie uporządkowana, łatwo dostępna i bezpieczna – m.in. za sprawą formowanej na gorąco, odpornej na zgniatanie przegródki SafeZone czy wyściełanej kieszeni na laptopa (do 15,6") SafeEdge. Świetnym rozwiązaniem jest również panel przedni z wsuwanymi kieszeniami, pętlami, siatką i systemem zarządzania kablami PowerPocket, dzięki któremu można łatwo uporządkować drobne przedmioty i ładować sprzęt elektroniczny w drodze. Główna przegródka zawiera zapinaną na zamek kieszeń z siatki i dużą kieszeń wsuwaną do oddzielania przedmiotów, a w zasuwanych bocznych kieszeniach można przechowywać np. butelki z wodą.

WYTRZYMAŁA I KOMPAKTOWA
LORNETKA TITANIUM HD 8×42 ED

Flagowa seria lornetek polskiej firmy Delta Optical konkuruje w testach z wielokrotnie droższymi modelami innych producentów, niejednokrotnie je deklasując. Szkło ED, powłoki przeciwblicyjne typu FMC, maksymalna redukcja aberracji chromatycznej, ostry obraz, szerokie pole widzenia, całkowita wodoszczelność i wypełnienie azotem. Całość zamknięta w wytrzymałej i kompaktowej obudowie. Titanium HD 8×42 ED uzyskała tytuł Produkt Roku 2018 w kategorii Lornetka w plebiscyście Optyczne.pl. Otrzymała również prestiżową międzynarodową nagrodę Red Dot Award 2018 za wybitne osiągnięcia w dziedzinie wzornictwa przemysłowego. Polski producent daje na tę serię aż 10 lat gwarancji. To wszystko czyni lornetki Delta Optical Titanium HD idealnym kompanem każdej wyprawy.



Cena: ok. 2000 zł
www.deltaoptical.pl

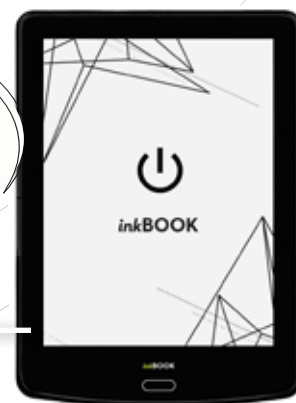
SKARPETA TREKKINGOWA
DEXSHELL DRI RELEASE
SPORT SOCKS



To uniwersalna skarpeta odpowiednia do wszelkich aktywności na świeżym powietrzu. Wewnętrzna warstwa łącząca wełnę merynosów i Dri-Release gwarantuje szybkie schnięcie, odprowadzenie wilgoci i eliminację nieprzyjemnego zapachu. Wkładka z pętelkami frotte w okolicach stopy zapewnia dodatkowy komfort w połączeniu ze wszystkimi typowymi funkcjami i zaletami skarpet marki Dexshell, a więc wodoodpornością i oddychalnością. Dri-Release to nowoczesna, zaawansowana technologicznie dzianina, wyprodukowana z mieszanki mikrowłókien naturalnych i sztucznych. Schnie cztery razy szybciej niż podobna dzianina wykonana w 100% z bawełny. Jest odporna na zagniecenia i wytarcia niezależnie od liczby prań.

Cena: ok. 200 zł
www.camelmore.pl

Cena: ok. 550 zł
www.inkbook.pl



6-CALOWY CZYTNIK E-BOOKÓW
INKBOOK PRIME HD

Jeden z najbardziej wszechstronnych czytników książek elektronicznych na rynku – dzięki odpowiednio dostosowanemu systemowi Android urządzenie obsługuje wszelkie formaty e-książek i dokumentów oraz ogromną liczbę serwisów i sklepów z elektroniczną literaturą. Ekran dotykowy E Ink Cart Flat Glass Solution (300 ppi) z doświetleniem o regulowanej barwie pozwala na dostosowanie jasności i kolorystyki do własnych preferencji. Do dyspozycji jest 8 GB na przechowywanie danych, co pozwala na wgranie ok. 3000 książek, obsługę najpopularniejszych formatów e-booków i plików PDF, dostęp do wi-fi, Bluetooth i złącza microSD oraz microUSB. InkBook Prime HD wyposażono w akumulator o pojemności 2000 mAh, który wystarczy na kilka tygodni czytania.



ISUZU D-MAX ARCTIC TRUCKS 35 (AT 35) – PRZEPIS NA IDEALNEGO PICK-UPA

W nasze ręce wpadła nie lada gratka – ISUZU D-MAX. Jednak nie taki zwykły D-MAX, ale wersja przygotowana przez islandzką firmę Arctic Trucks. Islandczycy specjalizują się w przygotowaniu aut do bardziej ekstremalnych warunków niż te, z którymi mają do czynienia na co dzień. Śnieg? Pustynia? Żaden problem! Ale od początku...

Okazją do testu był wyjazd prasowy w Karkonosze. Trzeba się tam jakoś dostać, z Warszawy najprościej S8 na Wrocław. Ale jak tu katować takie auto po drodze ekspresowej? Katowania nie było. Na szybkich asfaltowych długich prostych prowadzi się bardzo dobrze jak na swoje przeznaczenie. Przy maksymalnej prędkości w środku było zaskakująco... niegłośno.

BO LICZY SIĘ WNĘTRZE

W przypadku testowanego egzemplarza liczy się przede wszystkim funkcjonalność i prostota wnętrza. Z kabiny mamy świetną widoczność. To nie tylko zastęga podniesionego o 30 cm (względem fabrycznego) zawieszenia, ale także całej konstrukcji – belki przedniej szyby naprawdę zastaniają niewiele. Wyjątkiem jest widok do tyłu. Gdy stoimy na światłach, za isuzu chowają się w polu widzenia auta wielkości segmentu C. Skórzaną tapicerkę łatwo utrzymać w czystości. Kokpit jest plastikowy z elementami skórzanymi. Do minimum ograniczona liczba przycisków i pokręteł sprawia, że auto jest przyjazne i intuicyjne w obsłudze.

Kilkucalowy monitor z wyświetlaniem multimedialnym, nawigacji i ustawień nie musi przecież zapewniać rozrywki w jakości HD. Pod ręką automatyczna, 6-stopniowa skrzynia biegów, z mocnym „dołem” i praktycznie bez „góry”. Jak się później okazało – idealnie sprawdza się w terenie, ale niekoniecznie na trasie. Dużo miejsca dla każdego z pasażerów, a należy zaznaczyć, że prezentowana wersja miała podwójną kabinę, do której wejście ułatwiają progi dodane przez AT.

Z ZEWNĄTRZ

Trzeba przyznać, że ISUZU D-MAX AT35 z zewnątrz robi wrażenie. Do tego stopnia, że gdy zatrzymaliśmy się na parkingu pod jednym z dyskontów, zostaliśmy obfotografowani przez kilka osób. 17-calowe felgi wespół z oponami BF Goodrich AllTerrain tworzyły 34-calowe koła. Do tych kół konieczne było dorobienie specjalnych nakolei, które sprawiają, że auto staje się szersze, jednak w obrysie nie wykracza poza linię lusterek bocznych. Pick-up to przede wszystkim to, co znajduje się poza kabiną. Przemocna paka z pokrywą jest w stanie pomieścić wiele, pod warunkiem że to „wiele” nie przekracza 465 mm wysokości. Chyba że zdemontujemy pokrywę, wtedy możliwości rosną. Solidna płyta ochronna podwozia pokazuje, że auto przejedzie przez wszystko.

SERCE POTWORA

Arctic Trucks nie ingeruje w silniki aut. Mamy zatem do czynienia z 4-cylindrową jednostką o pojemności 1,9 l i mocy 163 KM.

Średnia spalania z trasy w Karkonosze pokazała 10,1 l/100 km. Trzeba jednak pamiętać, że komputer przelicza zużycie według standardowych ustawień, zatem spalanie mogło być nieznacznie większe. Ta sama zasada dotyczy wskaźnika prędkościomierza. Należy od nich odjąć 10–12 proc., aby zobaczyć realną wartość. Przy ocenie tego parametru jest pomocna fabryczna nawigacja. Naturalnie, że spalanie rośnie w terenie. Zwłaszcza kiedy do dyspozycji mamy dwa tryby napędu na cztery koła, regulowane pokręteł. Tryb 4H napędza wszystkie koła. Jeden ruch w prawo i jesteśmy w trybie 4HL – jeszcze bardziej terenowym, w którym jest zablokowany centralny mechanizm różnicowy.

KU PRZYGODZIE

Napisać, że w terenie sprawuje się rewelacyjnie, to jakby nic nie napisać. Karkonoskie trasy i górskie drogi nie były w stanie sprawdzić pełnej gamy możliwości tego auta, nad czym trochę ubolewamy. Jednak rozbudziły one wyobraźnię na to, gdzie można się wybrać pick-upem ISUZU D-MAX AT35. W ekipie byli zwolennicy śniegowych wypraw po Syberii albo Alasce (trzeba by zabrać też przyczepkę), tajgowo-tundrowych klimatów, w których dominują leśne bezdroża, oraz pokonywania pustynnych wydm Bliskiego Wschodu. Kwestią do rozwiązania pozostaje raczej, od którego kierunku zacząć...

Test: Grzegorz Miedziński



Plon niesiemy, plon

Dożynki są słowiańską tradycją, praktykowaną jeszcze w czasach pogańskich. Polskie obchody tego święta znane są od XVI w. Właściciele ziem organizowali je, aby wynagrodzić i docenić ludzi ciężko pracujących na roli, a także podziękować Bogu za udane zbiory. Istotnym punktem obrządku było składanie wieńca ze zbóż, owoców, a nawet... żywych kogutów. Niosła go na głowie lub rękach najlepsza żniwiarka, która przewodziła korowodowi zmierzającemu do kościoła. Tam plecione dzieło poświęcono, a następnie ze śpiewem przechodzono do posiadłości gospodarza.

W dwudziestolecie międzywojennym obchodzono dożynki parafialne, gminne oraz powiatowe. Podczas celebracji można było liczyć nie tylko na tańce, ale i na występy lokalnych zespołów czy różnego rodzaju wystawy. Na dożynkach pojawiali się przedstawiciele władz, również najwyższych.

Po II wojnie światowej obchody dożynkowe straciły akcenty religijne, a cele ich organizowania były głównie polityczne. Zmieniono również datę uroczystości: do tej pory Święto Plonów odbywało się w równonoc jesienną, w PRL-u wydarzenie przenoszono na którąś z niedziel przełomu września i października.

Dożynki są wciąż nieodłącznym elementem żniw i mimo że tradycja ta ewoluje, to nadal wiąże się z podziękowaniami za plony, wieńcami oraz zabawą. W ostatnich latach spopularyzowano także organizowane z tej okazji pielgrzymki rolników na Jasną Górę.





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



SERBIA – NAJGORETSZE DERBY EUROPY



INDIE – UWIERZYĆ W DUCHA



GRUZJA – MIASTO MIŁOŚCI

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Michał Białek
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz,
Łukasz Długowski, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek,
Elżbieta i Piotr Hajduk, Maciej Jastrzębski, Marcin Kołpanowicz,
Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Jerzy Nowiński,
Tomasz Owsiany, Anna Szczęsna, Magdalena Zelewska,
Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaškowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

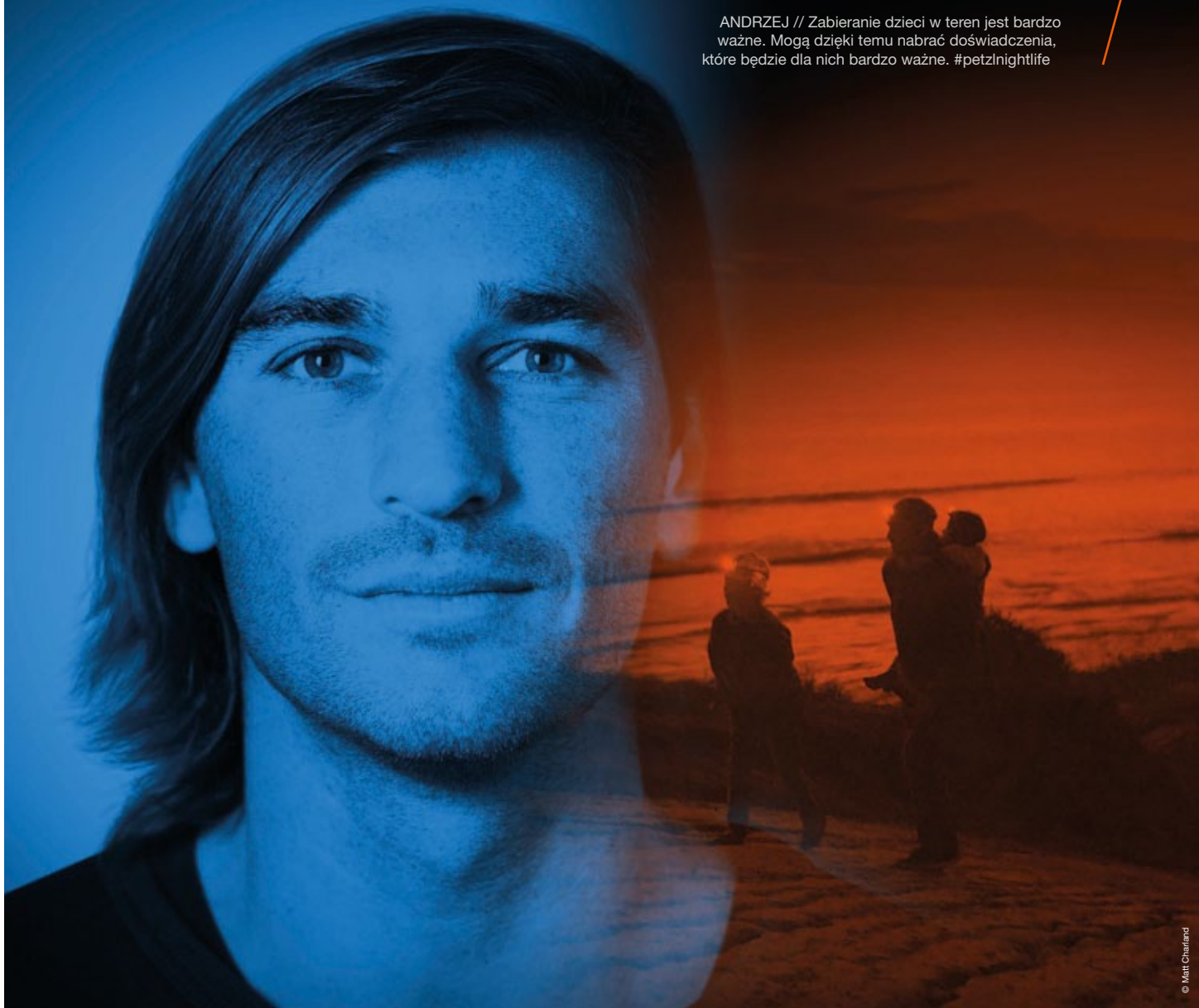
Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniem ich autorów.

MY LIGHT MY WAY

ANDRZEJ // Zabieranie dzieci w teren jest bardzo ważne. Mogą dzięki temu nabrać doświadczenia, które będzie dla nich bardzo ważne. #petzlnightlife



© Matt Charnand



ACTIK® CORE

Wielowieżkowa latarka czołowa z akumulatorem i czerwonym światłem.
Przeznaczona do aktywności outdoorowych. 450 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®

THULE[®]
SWEDEN

➤ **Designed for
life on the go**



Thule Revolve Collection

New

Podróżuj w sposób przyjemny i stylowy.
W nowej linii walizek podróżnych
Thule Revolve znajdziesz niezawodnego
kompana każdej podróży o niespotykanej
lekkości prowadzenia i wytrzymałości.

Bring your life
thule.com